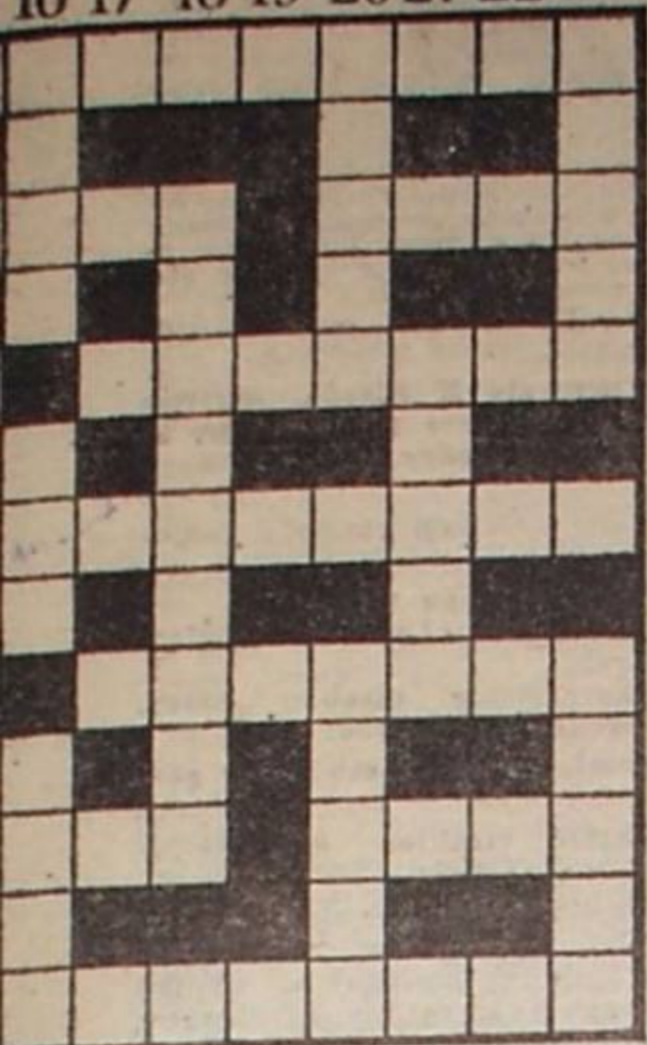


16 17 18 19 20 21 22 23



Lesław Bartelski

Przed godziną „W” STR.4-5

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7100 Nr Inskrypcji 32251

kamena

NR 15 (861)

27 lipca 1986

Cena 15 zł

Szef czyli na saksach w Paryżu

STR.7



Repr. Robert Lipski

Unikalna fotografia

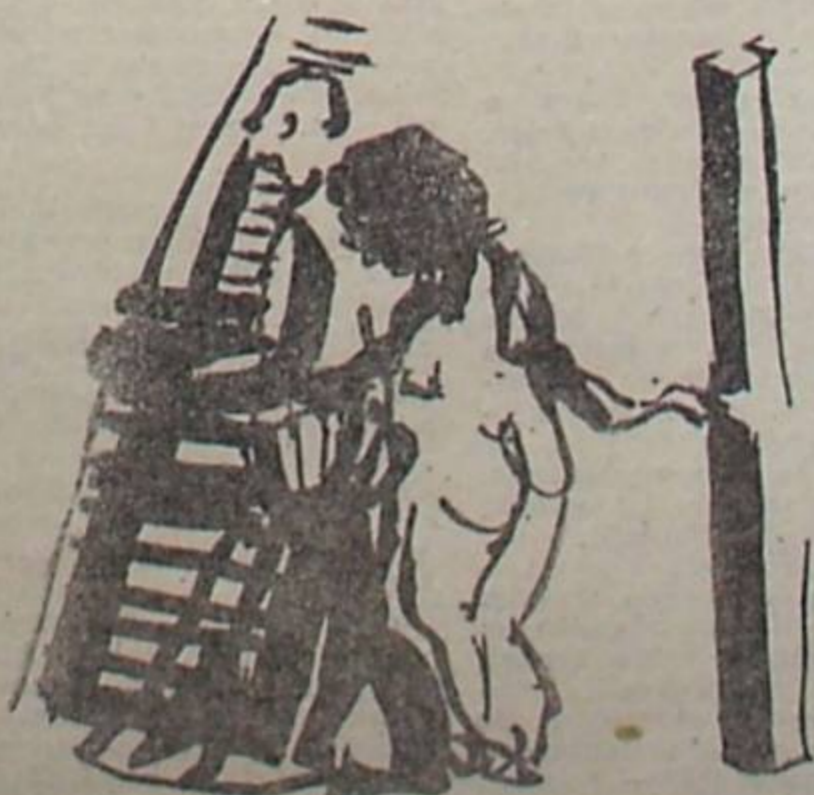
STR.3,4

Nikt nie popełnił dla niej samobójstwa STR.12,11

Kamienica

STR. 7,8

- Wujku, wujku
tam w ogródku
ktoś pieprzuje
panią Krysię.



Rys. Andrzej Bronikowski

Życie emeryta jest jak niedziela

STR. 8-9

DONIOSŁA UCHWAŁA X ZJAZDU PZPR

Uchwała X Zjazdu PZPR wymienia sześć najpilniejszych zadań społecznych. Zadań tych, oczywiście, jest więcej, ale obiektywne warunki ekonomiczne nie pozwalają na szybkie rozwiązanie wszystkich palących problemów społecznych, toteż trzeba skupić się na tych, które mają największe znaczenie dla klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy.

ZADANIE 1: Doprowadzenie w tym pięcioletniu do dalszej poprawy zaopatrzenia rynku w żywność i artykuły przemysłowe.

Zamierzając konsekwentnie do zapowiedzianego w perspektywnym programie osiągnięcia samowystarczalności w wyżywieniu narodu będziemy kierować maksimum możliwych środków na rozwój produkcji rolnej, przetwórczości i rozbudowę przemysłu spożywczego. Do 1990 r. dostawy artykułów żywnościowych powinny wzrosnąć o 12 proc., a artykułów przemysłowych — o 17 proc.

ZADANIE 2: Doprowadzenie w tym pięcioletniu do postępu w rozwiązywaniu problemu mieszkaniowego.

Do celowo należy zmierzać do zapewnienia każdej rodzinie warunków umożliwiających, własnym wysiłkiem i przy pomocy państwa, zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych o standardzie uznanym społecznie za niezbędny. W latach 1986—1990 należy wybudować 1050—1150 tys. mieszkań, a ponadto do 1990 r. zmodernizować około 900 tys. starych mieszkań.

ZADANIE 3: Skuteczne ograniczenie inflacji.

Tylko wspólnymi siłami możemy poprawić niską efektywność gospodarowania, polożyć tamę wzrostowi kosztów produkcji, który rodzi wzrost cen.

X Zjazd zobowiązuje rząd do podjęcia niezbędnych działań zmierzających do zmniejszenia w najbliższych latach inflacji do poziomu poniżej 10 proc.

ZADANIE 4: Zdrowie społeczeństwa i stan środowiska naturalnego.

Dla wzrostu kultury zdrowotnej konieczne jest podniesienie dbałości o higienę osobistą, o stan sanitarny kraju, ochronę środowiska, a także zwiększenie skuteczności walki z przejawami patologii społecznej.

Dla podniesienia skuteczności profilaktyki, lecznictwa i rehabilitacji należy zwiększyć bazę materialną służby zdrowia oraz liczbę kadr medycznych. Celowe jest odciążenie lekarzy od biurokratycznych zajęć.

Wysłek inwestycyjny w dziedzinie ochrony środowiska skoncentrowany będzie w rejonach najpoważniejszych zagrożeń ekologicznych.

ZADANIE 5: Nadanie większej wagi sprawom powszechnej oświaty, szkolnictwa wszystkich szczebli i kultury.

Wyż demograficzny ostatniego pięcioletnia, w którym liczba rodzących się dzieci wynosiła około 200 tys. rocznie, stawia przed państwem jako jeden z najważniejszych problemów społecznych budowę nowych pomieszczeń do nauki w liczbie 18 tys. w tym pięcioletniu.

Troszcząc się o powszechny dostęp do dóbr współczesnej kultury, będziemy równocześnie starać się szczególnie (państwową i społeczną) opieką zabytki narodowego dziedzictwa cywilizacyjnego i kulturalnego.

ZADANIE 6: Polityka kształtowania dochodów pieniężnych ludności — płac, emerytur i innych świadczeń — powinna wyrazić potwierdzenie zasady socjalistycznej sprawiedliwości społecznej.

Ogólny poziom dochodów społeczeństwa musi być ściśle powiązany ze społeczną wydajnością pracy.

W polityce płac konieczne jest konsekwentne stosowanie socjalistycznej zasady: każdemu według siły i jakości pracy, według jej efektów, od każdego według jego zdolności i umiejętności. Jest to warunek umiędziania w społeczeństwie szacunku do fachowości i kultu dobrej roboty.

Partia będzie tworzyć atmosferę sprzyjającą otaczaniu opieką kombatantów, inwalidów wojennych i weteranów

pracy. Podstawowym założeniem polityki świadczeń społecznych będzie jej adresowanie przede wszystkim do rodzin i osób najbardziej potrzebujących opieki i ochrony państwa. Coroczna waloryzacja emerytur i rent oraz likwidacja tzw. starego portfela zapewnią w bieżącym pięcioletniu wzrost realnej wartości emerytur i rent.

Zjawisko spekulacji, handlu walutami, pseudoturystyki muszą być eliminowane z zastrzeżoną surowością.

Jeden z punktów uchwały X Zjazdu omawia podstawowe zadania gospodarcze podkreślając, że nie da się obejść związku między twierzeniem a podziałem.

Główne dzwignie intensyfikacji rozwoju gospodarki to:

- przejście do drugiego etapu reformy;
- przyspieszenie postępu naukowego, technicznego i organizacyjnego;
- pełniejsze wykorzystanie zasobów pracy, energii, surowców, środków trwałych;
- wzmocnienie proeksplozji orientacji gospodarki;
- powszechny przegląd struktur organizacyjnych w gospodarce i w państwie.

X Zjazd PZPR opowiada się zdecydowanie za kontynuowaniem i dalszym usprawnianiem funkcjonowania reformy, zapoczątkowanej w wyniku postanowień IX Nadzwyczajnego Zjazdu. Obecny, jakościowo nowy, etap wymaga zdecydowanego wdrażania kompleksowych rozwiązań proeksplozji.

Istotą zmian systemowych będzie wzmacnianie strategicznych funkcji centralnego kierowania i planowania, a równocześnie utrwalanie samodzielności, samorządności i odpowiedzialności przedsię-

KRONIKA KULTURALNA

z notatnika

Od 7 do 27 lipca trwa w Janowie Podlaskim IX Ogólnopolski Plener Malarski, z udziałem artystów z różnych stron kraju. Uczestniczą w plenerze m.in. Franciszek Starowieyski, Ludwik Maciąg, Marian Nowiński, Bożena Widaj, Barbara Reida, Alojzy Balcerzak, Stanisław Baj. Głównym tematem pleneru tradycjonalnie już jest kon polski oraz pejzaż podlaski. Organizatorem zaś Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Muzeum Okręgowego w Białej Podlaskiej. Wystawa poplenerowa czynna będzie we wrześniu w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej.

Kolejna cenna inicjatywa kulturalna w Białej Podlaskiej. 18 lipca w Galerii BWA otwarta została wystawa „Satyra obyczajowa w czterdziestolecie PRL”. Ekspozycja gromadzi oryginalne, ciekawe prace wielu znanych karykaturzystów polskich, pochodzące ze zbiorów Muzeum Karykatury w Warszawie.

Pozostaliśmy jeszcze przy sprawach plastyki. Twórczość plastyczna — jedną z form rehabilitacji; oto temat wystawy, jaka 11 lipca otwarte w należycowickim Muzeum Ruchu Spółdzielczego w Polsce. Ekspozycja prezentuje malarstwo, grafikę, rzeźbę w drewnie, metaloplastykę; są to prace nieprofesjonalnych twórców, zrzeszonych w regionalnych związkach inwalidów w Lublinie, Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Rzeszowie. Działalność artystyczna w środowisku inwalidów posiada ważne funkcje terapeutyczne.

Od 13 lipca trwają w Lublinie Spotkania Folklorystyczne. Jest to impreza międzynarodowa o dosyć dużych rozmiarach. Występują zespoły polonijne z Francji, USA, ludowe zespoły z Austrii, Węgier, Czechosłowacji, Rumunii, a także zespoły folklorystyczne z Lubelszczyzny. Impreza ma charakter plenerowy. Koncerty odbywają się w Ogródzie Saskim.

Do Lublina przybył folklorystyczny zespół polonijny z Brazylii „União Juvenius”. Zasadniczym celem wizyty w Polsce jest udział w VII Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie. Poza koncertami lubelskim zespoł wystąpi w Krakowie, Warszawie, Puławach, Nowym Sączu i oczywiście w Rzeszowie.

W UMCS-ie i KUL-u rozpoczęły się Letnie Kursy Kultury i Języka Polskiego dla cudzoziemców. W programie kursów znajdują się liczne imprezy kulturalne: prezentacje ciekawych filmów polskich (m.in. Wandy, Zanussi), imprezy teatralne, wykład z dziedziny teatru, filmu polskiego, zwiedzanie najciekawszych obiektów zabytkowych w Lublinie i w Polsce.

Muzeum Historyczne Miasta Lublina, znajdujące się w zabytkowej Bramie Krakowskiej, zaprasza do obejrzenia nie tylko swoich ciekawych zbiorów, ale także wystawy malarstwa i grafiki przynależącej wykład tej samej budowli w dawnych wiekach i czasach.

(w)

UWAGA CZYTELNICY!

Kolejny odcinek cyklu „Od Casinno do Bolonii” w następnym numerze.

Red.

11 VII. Kupiłem tę książkę przed siedmioma laty, przeleżała, jak wiele innych, na bibliotecznej półce i dopiero teraz, zupełnie przypadkowo, wziąłem ją do ręki. Wziąłem i nie mogę się od niej oderwać.

„Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi — bilans tysiąca lat”. Autorzy: Joe Heydecke i Johannes Leeb. Wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Przekładu dokonał Marek Zeller.

Książka ta to jakby reportaż, wielki reportaż z sali toczącego się od 20 listopada 1945 r. do 1 października 1946 r. procesu przeciwko głównym zbrodniarzom wojennym na czele z Goeringiem, Hessem, Ribbentropem i H. Frankiem. Właśnie niedługo minie czterdzieści lat od ogłoszenia wyroku, w którym dwunastu spośród oskarżonych (tylko dwunastu!) otrzymało karę śmierci. Ze skazanych na dożywocie Rudolf Hess przeżywa nadal w twierdzy Spandau. Z pozostałych skazanych żyje bodaj tylko Albert Speer, choć nie jestem tego całkiem pewny. (W Norymberdze skazano go na dwadzieścia lat więzienia).

Marian Podkowiński pisze we wstępie do polskiego wydania tej książki: „Autorzy uczynili wszystko dla uwąrygodnienia ich sprawozdania. Dokładność i wierność w cytowaniu przewodu procesowego lub dokumentów jest godna pochwały. Podobnie jak rzetelność i obiektywność relacji, która bilansuje to wszystko, co pod znakiem swastyki i w imieniu narodu niemieckiego dokonane zostało w okupowanej Europie. Książka ta waleń przyczyniła się do tego, że także w RFN wielu czytelników innymi oczyma spojrzano na wyrok w Norymberdze...”

Tyle już książek przeczytałem o Trzeciej Rzeszy, znam wiele faktów, wiele szczegółów, a jednak ta jest szczególnie pasjonująca, choć i przerażająca w swej wymowie...

1 października 1946 r. sąd w Norymberdze wydał wyrok w procesie głównych zbrodniarzy wojennych. Również przed ośmiu laty, 1 października 1938 r., hitlerowskie hordy po dyktacie monarchijskim ruszyły na Czechosłowację zajmując Sudety.

Osiem lat dzieli te dwa wydarzenia. Zaledwie osiem lat (to tak, jakbym się dziś cofnął do 11 lipca 1978 r.)...

Osiem lat i morze krwi...

12 VII. W 1984 r. dokonano w USA 18 700 zabójstw, czyli prawie osiem na 100 tysięcy mieszkańców. We Francji — mniej niż pięć. „Amerykanie, którzy odwołali planowane wycieczki do Europy ze strachu przed terroryzmem — pisze „The Economist” — powinni spokojnie przejrzeć niektóre statystyki i przemyśleć swą decyzję. Mogą bowiem dojść do wniosku, że podróż do Europy jest bezpieczniejsza niż pozostanie w domu”...

„The Economist” przytacza i inne dane: w 1984 r. na drogach zginęło w katastrofach samochodowych w USA około 44 tys. osób, czyli o 10 tys. więcej niż w W. Brytanii, Francji, Włoszech i RFN łącznie.

14 VII. W sześciu kolejnych meczach międzypaństwowych (w tym i mundialowych) reprezentanci naszego kraju w piłce nożnej strzelili aż (!) jednego gola. Ile w tych meczach strzelono goli biało-czerwonym? Dziesięć. Wcale bym się jednak nie dziwił, gdyby tych goli wkopano nam dwadzieścia. Od dłuższego już czasu nie mamy drużyny, a ściąganie pogotowia w postaci „zagraniczników” też przynosi nikiel, a właściwie żadne, rezultaty. Dlatego też nie ma czego żałować, kiedy kolejni nasi piłkarze pakują manatki i odlatują do zachodnich krajów. Właśnie Smolarek, Bunec i Wójcicki poszli śladem Bojka. Trochę dolarów nam kapnęło, co w trudnej sytuacji dewizowej kraju powinno cieszyć. Ciekawe, jak się ci zawodnicy sprawdzą, kiedy im przyjdzie grać za zielone na co dzień...

Marian Butrym przypomniał w „Szpilkach” postawienie sprawy po meksykańskiej przez Antoniego Piechniczka, który po przegranej meczu z Brazylią „z marsową miną oświadczył był osobiście, że zmienia pracę. Przestał być trenerem reprezentacji po prostu. [...] Dla tej jedynej sekwencji warto było płacić miliony, jakże przecież cenny dewiz, na studia unilaterne, na transmisje via satelity, na kolor i triki, na zakup filmu, który codziennie pokazywał te same posągi i te same jeziorka, na diety komentatorów, którzy nie odróżniają gola od pudła, Algieru od Maroka, jednej liczby na koszulce zawodnika od drugiej i języków obcych od polskiego...”

Tym razem dymisja Piechniczka została przyjęta, choć on zapewne musi mieć do siebie pretensje, że nie odszedł wtedy, gdy nasza drużyna była trzecią potęgą na świecie. Wtedy trzecią, dziś czternastą — różnica to wymowna. No, ale Piechniczek musiał wiedzieć, co robi, i fraszki w rodzaju: „Entliczek pentliczek z Piechniczka Piechniczek” (vide: „Szpilki”) nie są na miejscu, bo nazwiska sobie nikt nie wybiera, chyba że je zmienia w wieku męskim.

Czekając (bez emocji) na nominację nowego trenera naszej kadry piłkarskiej, chciałem zwrócić uwagę na fakt, że również w kraju trwa wyprzedaż piłkarzy, i ceny, mimo inflacji, są tu wcale nie takie małe. Kluby I-ligowe wystawiły na listę transferową aż 80 piłkarzy. Kto chce kupić Krzysztofa Budkę z Zagłębia Lubin, Dariusza Niewiadomskiego i Piotra Romkę z poznańskiego Lecha musi wybulić po 30

milionów za każdego z nich, z której to sumy aż 10 milionów otrzyma PZPN. Złoty, złotych oczywiście... Ale jeszcze nie tak dawno transfer Dziekanowskiego z Gwardii do Widzewa opiewał na 21 milionów złotych, chociaż nie wiem, czy wówczas PZPN pobierał jakiś baracz. Niektórzy dziennikarze wyrażają radość, że wszystko dzieje się teraz w pełnym blasku, że transakcji nie zawiera się pod stołem. Może tak jest faktycznie i lepiej, ale skąd kluby biorą właściwie pieniądze, kiedy na mecze przychodzi coraz mniej widzów? Nie każdy klub ma takiego zawodnika, którego chciałby kupić Juventus Turyn. I czy ten handel ludźmi (zawodnik też człowiek) ma ugruntowywać pozycję sportu?

Jakoś nie mogę sobie wyobrazić sytuacji, w której redakcja jakiegos pisma ukazującego się w Lublinie czy Kielcach chciałaby powiększyć skład swego zespołu poprzez sprowadzenie (w miarę) wybitnego dziennikarza z... (mniejsza o miasto i mniejsza o redakcję). Takiego dziennikarza nie można nawet skusić mieszankiem! Co najwyżej można mu dopomóc w zamianie. A pobory, jakie mu się zaproponuje, będą raczej niższe od tych, które otrzymywał dotychczas. Co ja tu zresztą będę mówił o dziennikarzach! Podobnie rzecz ma się ze znakomitym chirurgiem! U nas bardziej ceni się byle jaką nogę niż złotą rączkę. Nie jedno miasto bardziej nobilituje fakt posiadania I-ligowej drużyny piłkarskiej, która jest czerwoną latarnią w tabeli, niż kliniki z prawdziwego zdarzenia. A przecież na mecz można nie pójść, a do kliniki iść, niestety, czasem trzeba i chciałoby się ją opuścić na własnych nogach.

Pogadałem sobie, trochę mi użyło, choć i tak wiem, że to niczego nie zmieni. Zaraz ktoś mi odpowie, czym jest dzisiejsza piłka nożna i jakie profity propagandowe można dzięki niej uzyskać. Taki Mundial np. etc. Ja jednak wolę w czasie Mundialu oglądać nawet obce drużyny, ale dobre. Dziś nie możemy wygrać z Marokiem, a jutro nie pokonamy Tajlandii. Ale czy z tego powodu mam popadać w kompleksy? Ku temu powodów istnieje aż nadto!

Oczywiście to, co się zdarzyło w tym roku w Meksyku biało-czerwonym, żadną tragedią nie jest, bo odpadły drużyny znacznie lepsze niż nasza. Po co jednak tyle mówiono i pisano o świetnym przygotowaniu, skoro przedmundialowe mecze z Hiszpanią i Danią pokazały, że król jest nagi?

Niestety, nie tylko taki jest nasz król piłkarski, co pokazują chociażby moskiewskie Igrzyska Dobrej Woli. Ale to już temat sam w sobie, którego żadnymi transferami nie rozwiążemy. Transfery, jakkolwiek by one w sporcie były, mogą tylko pogłębić ogólną frustrację. Po prostu jest to droga donikąd!

M. A. Jaworski

biociał oraz pobudzanie tej inicjatywy i aktywności.

W warunkach, gdy przyrost ludności w wieku produkcyjnym będzie 3-4-krotnie niższy niż w okresach poprzednich, szczególnego znaczenia nabiera pełna wykorzystanie istniejących rezerw pracy. W wielu zakładach i instytucjach rzeczywisty czas pracy wynosi nie 42 godziny tygodniowo, lecz zaledwie około 30.

Należy zwiększać zdolność eksportową naszej gospodarki oraz pogłębiać integrację ekonomiczną z krajami RWPG.

Polska wypowiada się za budową nowego międzynarodowego ładu społecznego opartego na pełnym równouprawnieniu, sprzyjającego rozwojowi i dającej wszystkim państwom poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego.

Od wielu lat narasta potrzeba przyspieszenia zmian strukturalnych w gospodarce. Należy przyspieszyć rozwój branż i gałęzi przemysłu będących nośnikami postępu technicznego, rozszerzających zdolności eksportowe, likwidujących wąskie gardła w produkcji, pogłębiających przetwórstwo rodzimych surowców i paliw.

W obecnym pięcioletcu nakłady inwestycyjne, zwłaszcza w sferze produkcyjnej, wzrastają będą szybciej niż sfera spożycia.

Zjazd uznaje za konieczne przeprowadzenie powszechnego przeglądu funkcjonowania struktur organizacyjnych w gospodarce i państwie dla unowocześnienia i usprawnienia zarządzania, racjonalizacji poziomu i struktury zatrudnienia oraz ograniczenia zjawisk biurokratycznych. Będzie to wsparciem dla reformy gospodarczej.

Zjazd w pełni aprobuje i potwierdza politykę rolną opracowaną przez partię i ZSL w ostatnich latach.

Uchwała wymienia kilka najważniejszych zadań w dziedzinie rolnictwa na bieżące pięcioletcie, podkreślając m.in., że niezbędny jest wyższy niż planowano wzrost nakładów na rozwój przemysłu spożywczego i przemysłów wytwarzających środki produkcji dla rolnictwa i gospodarki żywnościowej.

Szczególne troską będzie się staczać głębia rolnicza. Stworzone zostaną takie warunki, a także przepły prawne, które skutecznie będą służyły scalaniu gruntów.

Wspierany będzie chłopski ruch spółdzielczy, wzbogacony o różne formy zespołowego działania.

Kolejne punkty uchwały poświęcone są zadaniom w rozwoju życia społecznego, traktują o umacnianiu socjalistycznego państwa, o pogłębianiu demokracji i dalszym poszerzaniu porozumienia narodowego, mówią o doskonaleniu działalności partii oraz o umacnianiu więzi Polaki z socjalistyczną wspólnotą, o aktywnym współdziałaniu naszego kraju w walce o pokój.

Uchwała podkreśla, że doniosłym faktem społeczno-politycznym jest odrodzenie się związków zawodowych. Partia upatruje w samorządach pracowniczych jeden z podstawowych i trwałych elementów socjalistycznej demokracji. Stawiając na inicjatywy młodzieży, partia opowiada się za poszerzaniem obszarów jej odpowiedzialności za rozwój kraju.

Polityka kulturalna partii i państwa służy umacnianiu socjalistycznej świadomości, ochronie dorobku i postępowych tradycji kultury narodowej, tworzeniu coraz korzystniejszych warunków dla rozwoju twórczości i jej upowszechniania. Otwartość naszej polityki kulturalnej oznacza, że jest to polityka porozumienia, dialogu i współpracy ze wszystkimi nurtami nie sprzecznymi z pryncypiami ustroju socjalistycznego.

Partia uważa, że dojrzywać będą warunki dla dalszego rozwoju i wzbogacania instrumentów socjalistycznej demokracji oraz ich utrwalenia w nowelizacji Konstytucji PRL. Wielkie znaczenie mieć będzie doskonalenie ordynacji wyborczej do rad narodowych i Sejmu.

Sojusz i współpraca PZPR z ZSL i SD zdały historyczny egzamin. Partia z szacunkiem i uznaniem odnosi się do dotychczasowego dorobku PRON. Rozpatrzenia i przekonsultowania wymaga inicjatywa utworzenia przy Radzie Państwa (z aktywnym udziałem Rady Krajowej PRON) Społecznej Rady Konsultacyjnej, a przy wojewódzkich radach narodowych jej odpowiedników — konwentów obywatelskich.

Ludowe Wojsko Polskie pod ideowym przewodnictwem partii niezawodnie służy Ojczyźnie.

Partia przywiązuje wielką wagę do zapewnienia pełnej realizacji wolności sumienia i wyznania oraz do współdziałania wszystkich obywateli dla dobra kraju niezależnie od ich światopoglądu. Motywe i kontencje jest nie tylko irwale ułożenie stosunków z Kościołem katolickim i innymi związkami wyznaniowymi, lecz także długofalowe ich współdziałanie z państwem w wielu dziedzinach życia, żywotnych dla interesu całego narodu.

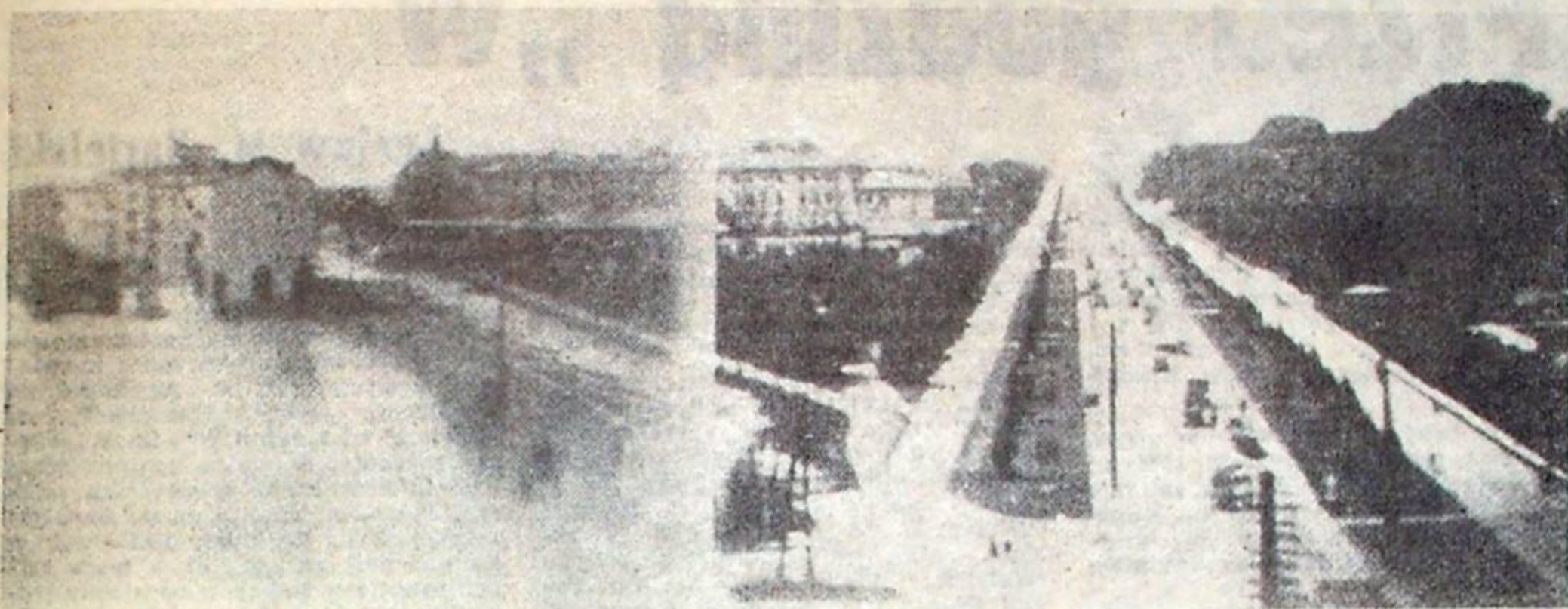
X Zjazd potwierdza potrzebę kontynuacji linii IX Nadzwyczajnego Zjazdu również we wszystkich dziedzinach życia wewnątrzpartyjnego. Partia działa metodami politycznymi, odrzuca wszelkie przejawy biurokratyzmu. Przynależność partyjna oznacza przede wszystkim stałą gotowość brania na swe barki większych obowiązków i większej odpowiedzialności.

Kluczowe znaczenie partia przywiązuje do wszechstronnego zacieśniania przyjaźni, współpracy i współdziałania Polaki ze Związkiem Radzieckim. Jest to kamień węgielny naszej polityki zagranicznej. Nadrzędnym celem socjalistycznej wspólnoty jest uchronienie świata przed wojną nuklearną. Nasza partia w pełni popiera sformułowany przez KPZR i jej przywódcę, tow. Michaiła Gorbaczowa, wielki program pokoju, którego celem jest położenie kresu wyścigowi zbrojeń i wejście ludzkości w nowe tysiąclecie bez broni masowej zagłady.

Uchwała X Zjazdu PZPR zawiera wielkie bogactwo myśli, precyzuje trudne zadania, które — jeśli nie chcemy pozostać w tyle — musimy w najbliższym czasie wykonać.

Realizację uchwały wspierać również będzie działalność środków masowego przekazu. Wiele zasygnalizowanych problemów trzeba teraz polecić poprzez publicystykę, tak aby dorobek X Zjazdu został dla dobra nas wszystkich jak najbardziej spopularyzowany.

(j)



Repr. Robert Lipski

Unikalna fotografia

(Lublin: 21-23 lipca 1944 r.)

Mirosław Derecki

ZDJĘCIE, które pokazuje mi Witka Zarychta, przedstawia długą perspektywę Alei Raclawickich w kierunku szosy warszawskiej. Po prawej stronie gęstwiną Saskiego Ogrodu, po lewej, w oddali, sylwetą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a bliżej, ukośnie odchodząca od alei, jezdnia obecnej ulicy Nowotki. Tam, gdzie dzisiaj wznoszą się mury przyszłego teatru, pusty plac. Dęby rosnące na trawnikach wzdłuż alei — niziutkie, wyglądają jak krzaki; o wiele wyższe są drewniane słupy telegraficzne stojące przy samej jezdni. Trójkąt skweru przed KUL-em — jakiś płaski, w niczym nie przypomina dzisiejszego, bujnie rozrośniętego „małego gaju”... Fotografia jest wybiakła, nieostra. Ale widać na niej długi sznur wojskowych ciężarówek zdążających na północ, ku Warszawie. To wojska niemieckie uciekają z Lublina, od którego od wschodu zbliżają się radzieckie czołgi!

To unikalne zdjęcie zrobił Witek, wówczas piętnastoletni żołnierz Armii Krajowej, na dwa lub trzy dni przed wyzwoleniem miasta, amatorskim, pudełkowym aparatem fotograficznym marki „Sida” z okna mieszkania swo-

jej matki na czwartym piętrze kamienicy przy Alejach Raclawickich 6, róg Zwirki i Wigury. Niedługo przed tym, gdy w ramach akcji „Burza” miał wyruszyć z karabinem w dłoni na ulice Lublina...

Witek Zarycha nie lubił opowiadać o swojej wojennej przeszłości; nigdy dotąd nie udawało mi się namówić go na relację z przeżyć w dniach wyzwolenia Lublina w 1944 r. Uważał, że to są „stare dzieje”, do których po latach nie warto wracać. Witek, od dwudziestu pięciu lat występujący na scenie lubelskiego Teatru im. Osterwy, stale współpracujący z rozgłośnią tutejszego Polskiego Radia, albo wyjeżdżał na zdjęcia filmowe, albo prowadził zajęcia z dykcji, albo pracował społecznie... Ostatnio choroba strun głosowych spowodowała, że musiał ograniczyć pracę zawodową. I to też pewnie sprawiło, że dzisiaj jakoś chętniej sięga do domowego archiwum.

Urodził się w Lublinie, w robotniczej dzielnicy, na Bronowicach. Tam jego ojciec, Michał Zarychta, pracował całe życie w fabryce maszyn rolniczych „u Moritza”. I tam Witek, jeszcze przed wojną, rozpoczął naukę w Szkole Powszechnej nr 11 przy ulicy Bronowickiej

za parkiem. W 1939 r. uczniowie „jednostki” — jego starsi koledzy — mieli zapisać się chłubnie w obronie Lublina, o czym wspomina Wacław Gratewski w książce „Bieg po krawędzi”. Ci chłopcy w harcerczkich mundurkach, walczący w rejonie „Bobolanum” przy Alejach Raclawickich (dzisiejszego Szpitala Wojskowego), przeszli do szkolnej legendy. Toteż gdy w marcu 1943 r. starszy o dwa lata kolega z Bronowic, Jurek Szejman, zaproponował Witkowi wstąpienie do Armii Krajowej, chłopiec odebrał to jako niezwykle wyróżnienie i dowód wielkiego zaufania. Cała rodzina Szejmanów związana była z konspiracją. Spośród licznych rodzeństwa najaktywniej działali: Jerzy — „Jur” oraz Marian — „Mazur” (który w kwietniu 1944 r. zginął w partyzanckiej akcji pod Pawlinem) — starsi bracia późniejszego lubelskiego aktora i dyrektora Teatru im. Osterwy, Zbigniewa Szejmana.

Tak więc w marcu 1943 r. siódmo-klasista Witold Zarychta został zaproszony i wszedł wraz z trzema szkolnymi kolegami: Januszem Piskiewiczem, Wacławem Korzeniowskim i Zbigniewem Hensem w skład jednej akowskiej sekcji, na której czele stał

Jerzy Szejman. Zaprzysiężenie odbyło się w konspiracyjnym lokalu w jednym z domów przy ul. Zgodnej na Bronowicach.

Chłopcy od razu zostali skierowani na szkolenie podoficerskie. Poza tym obowiązywała ich „normalna” działalność konspiracyjna, właściwa dla ich młodego wieku: byli łącznikami, prowadzili kolportaż prasy podziemnej, rozlepiali ulotki na murach domów. Co pewien czas niektórzy z nich odchodzili na krótko „do lasu” na praktyczne szkolenie w oddziale partyzanckim. Pierwszy poszedł na leśną praktykę Janusz Piskiewicz. Kilkakrotnie odbywał partyzancki staż Jurek Szejman, dlatego później, w 1944 r., nie brał udziału w akcji „Burza” w Lublinie; moment wyzwolenia miasta zastał go właśnie w partyzantce.

Nadchodziło lato 1944 roku. Niemcy zachowywali się w sposób coraz bardziej nerwowy, przygotowywali się do obrony miasta. Budowano wokół Lublina umocnienia, kopano okopy, zaganiając do tych prac miejscową ludność. Na pewien czas do kopania okopów został wzięty także Witek Zarychta.

Witek nie przypomniał sobie dokładnie, którego dnia zrobił „Sida” pamiętkowe zdjęcie, mające dokumentować ucieczkę Niemców z Lublina. Mogło to być 20 albo 21 lipca 1944 r. Natomiast pamięta, że zdawał sobie wówczas dokładnie sprawę, iż takie fotografowanie jest rzeczą bardzo niebezpieczną, za które można zapłacić głową. Nie był już dzieckiem. Miał piętnaście lat, był uczniem szkoły średniej, lubelskiej Szkoły Budownictwa, mieszczącej się wówczas przy ul. Radziwiłłowskiej (dziś Dymitrowa). No i był żołnierzem podziemnej armii, przerabiającym przyspieszony kurs szkoły podoficerskiej.

Chyba 21 lipca po południu poszła wśród chłopców na Bronowicach wiadomość, że wojsko wychodzi z podziemia i przystępuje do akcji. Na ulicy Łęczyńskiej otwarto konspiracyjny magazyn z bronią, zaczęto rozdzielać karabiny i amunicję. Witek nie posiadał ustalonego przydziału bojowego, a dowódca ich sekcji, Jurek Szejman, był poza Lublinem. Ale kiedy Witek zgłosił się na Łęczyńską, bez trudu otrzymał dziesięciopalcowy półautomatyczny karabin, ładownice z nabojami i kilka niemieckich handgranatów. Na Bronowicach wszyscy się znali; mimo ścisłej konspiracji wiadomo, że jest on żołnierzem podziemia.

Witek nie wiedział wiele na temat rozpoczynającej się akcji „Burza”, o rozlokowaniu i liczbie oddziałów Armii Krajowej, o celach, które mają być zwalczane. Uświadomił sobie wówczas tylko to, że właśnie nadszedł czas walki. I że z organizacyjnego zamętu zaczyna się wylaniać jakaś stała grupa ludzi z bronią jakiś zwarty oddział, którego on jest częścią. I że ten oddział znajduje się w pogotowiu bojowym. Zajmowali pomieszczenia Syndykatu przy ulicy Łęczyńskiej obok rampy ko-

Dokończenie na str. 4-5



Sądy na Lesznie, obsadzone przez oddziały Wehrmachtu, były jednym z najbardziej obwarowanych punktów w mieście.

KOMENDANT „Monter”, po otrzymaniu rozkazu o podjęciu walki zbrojnej, czym prędzej pogonił z Pańskiej na plac Narutowicza, gdzie mieściła się jego konspiracyjna kwatera. W solidnej, mieszczarskiej kamienicy przy Filtrów 68, w mieszkaniu dr. med. Wilczyńskiego wyczekiwał na niego szef sztabu mjr dypl. „Chirurg” — Stanisław Weber. Odesłał on już część wyczekujących w pogotowiu na dyspozycję, łączniczek z obwodów, zbliżała się bowiem godzina policyjna. Poleciał im jednak, aby na jutro, 1 sierpnia, stawili się wczesnym rankiem. W lokalu przebywała również kierowniczka kancelarii Okręgu por. „Ala” — Stefania Aluchna, jak i sekretarka ppor. „Orska” — Janina Gorazdowska, a także kilka dziewcząt pomagających w zajęciach kancelaryjnych. Już kończyły swoją pracę, gdy w drzwiach gabinetu stanął „Monter”. Po wyrazie jego twarzy i przejęciu zrozumiał, że zaszło coś ważnego. Błyskawicznie podyktował rozkaz, ale minęło pół godziny, nim tekst zasztyfrowano i przepisano w odpowiedniej ilości odbitek. Brzmiał następująco:

Alarm. Do rąk własnych komendantów, Obwodów i kierowników Wydziałów Okręgu. Dnia 31.7 godzina 19.

Nakazuję „W” dnia 1 VIII godz. 17. Adres m.p. Okręgu: Jasna 22 m. 20 czynny od godziny „W”. Otrzymanie rozkazu natychmiast kwitować.

Trzeba było pośpiesznie opuścić lokal, zbliżała się 20.00, godzina policyjna, a po niej miasto zamierało i po ulicach krążyły jedynie patrole niemieckie, czasem przemykając jezdnią samochodów osobowych czy ciężarówek, kierujące się na pobliski front.

Dziewczęta zbiegły po kamiennych schodach z II piętra i znalazły się przed bramą na pustozemnym młynie letniej pory placu. Kupcy zamykali sklepy i stragany, ostatnie wozy tramwajowe

zjeżdżały do zajezdni, na skrzyżowaniu z Grójecką tryskały spod palaków iskry. Wieczór był pogodny, choć na ciemniejącym horyzoncie gromadziły się chmury.

Łączniczeki rozechodziły się w pośpiechu, przejęte i zamyślane, zastanawiały się, czy dotrą na czas do wyznaczonych

punktów. A przecież rozkaz o godzinie „W” komendanci obwodów musieli przekazać jeszcze swoim podwładnym. Warszawa była miastem rozległym, granice Okręgu sięgały poza nią, komunikacja od kilku dni szwankowała, wyczuwano się tętniący puls działań wojennych.

Sabina Sebyłowa notowała w swym dzienniku pod datą 31 lipca 1944 r.: „W lokalu obok — każdy pokój zajmuje obca sobie rodzina — właśnie u jednej z rodzin zsywają pasy białego i czerwonego materiału na biało-czerwone opaski”.

Te opaski z napisem WP lub AK i numerem plutonu oznaczały, że noszący je na ramieniu stają się kombatantami w myśl Konwencji Haskiej z 1907 r.

Pułkownik Antoni Chruściel, ps. „Monter”, komendant Okręgu rozciągającego się od Nowego Dworu Mazowieckiego poza Otwock i niemal od granic Wolomina po Pruszków, miał pod sobą — według konspiracyjnych danych — 45 331 żołnierzy i łączniczek w 701 plutonach (o pełnym składzie po

60 ludzi) i 159 plutonach szkieletowych (średnio po 20 osób).

Ponadto w Warszawie wyczekiwały na rozkaz do walki — pułk dyspozycyjny Komendy Głównej AK „Baszta” pod dowództwem ppłk. „Daniela” — Stanisława Kamińskiego, mobilizujący się na południowym Mokotowie w obrębie VI Rejonu V Obwodu; oraz zgrupowanie batalionów Kedywu KG AK ppłk. „Radosława” — Jana Mazurkiewicza.

Oba te oddziały, liczące około 4500 żołnierzy, stanowiły w pierwotnych zamierzeniach siłę uderzeniową, która, posuwając się z południa do centrum stolicy, miała wspomóc grupy powstańcze Śródmieścia w celu „wymiecenia” wroga w kierunku zachodnim.

Ale wraz z przeniesieniem posterunku dowodzenia KG na Wolę, również i zgrupowanie „Radosława” przeszło w rejon cmentarzy wyznaniowych, stając się odwód taktyczny Komendy Głównej. Płk „Daniel” dostał od „Montera” (jako uzupełnienie) VI batalion WSOP, który i tak by wystąpił do walki na Mokotowie.

25 lipca na terenie Okręgu pojawił się duży oddział partyzancki ppor. „Góry” — Adolfa Pilcha, cichociemnego — tzw. zgrupowanie stołpeckie, złożone z batalionu 78 pułku piechoty, dywizjonu 27 pułku ułanów i szwadronu karabinów maszynowych 25 pułku ułanów, łącznie 839 żołnierzy i łączniczek AK, przybyłych z Puszczy Nalibockiej.

W sumie — jak podaje Adam Bor-kiewicz w monografii „Powstanie War-

szawskie” — Okręg rozporządzał 50 670 zarejestrowanymi żołnierzami podziemia, choć były to obliczenia „na papierze”, teoretyczne. Ilu z nich zgłosił się na punkty wyjściowe do szturm i stan do walki?

Zaprawiona w konspiracji i przygotowana do akcji, kadra wynosiła ponad 1100 oficerów, w tym 6 generałów i 25 wyższych oficerów dyplomowanych. Na czele obwodów stali — I-ego (Śródmieście) ppłk „Radwan” — Edward Pfeiffer; II-ego (Zoliborz) ppłk „Zywiec” — Mieczysław Niedzielski; III-ego (Wola) mjr „Waliłgora” — Jan Tarnowski; IV-ego (Ochota) ppłk „Grzymała” — Mieczysław Sokółowski; V-ego (Mokotów) ppłk „Przegonia” — Aleksander Hryniewicz; VI-ego (Praga) ppłk „Andrzej” — Antoni Władysław Zurowski; VII-ego (podmiejskiego) mjr „Bronisław” — inż. Kazimierz Krzyżak i VIII-ego (Okęcie) mjr „Wysocki” — Stanisław Babiarz, będący jednocześnie dowódcą 7 pułku piechoty AK „Garłuch”. Pięciu z tych oficerów wywodziło się z piechoty, dwóch z kawalerii, jeden był saperem.

Obwody dzieliły się na rejony, a było ich 33 w Okręgu. Rozkaz o godzinie „W” musiał być dostarczony ich komendantom za pośrednictwem sztabów obwodów, te rejony zaś z kolei kierowały go do jednostek. Część rejonów, jak otwocki (kryptonim „Fromezyn”), znajdowała się już po stronie radzieckiej, część, jak Marki (kryptonim „Celków”) lub Rembertów (kryptonim „Dęby”), na linii frontu, wszędzie oddziały AK pozostawały w stanie pogotowia bojowego.

Warszawa pod koniec lipca 1944 r. liczyła prawie milion mieszkańców, z czego na lewobrzeżne dzielnice przypadało około 800 000 ludzi. Przez wojnę stawało w stolicy corocznie do poboru 12 000 mężczyzn, jak wykazywał „Mały Rocznik Statystyczny” z 1939 r. Jeśli nawet przyjąć straty ludzkie z okresu 1939—1944, w tym wymordowanie ludności żydowskiej, to trzeba stwierdzić, że latem 1944 r. można by zmobilizować szacunkowo po 6000 mężczyzn z każdego rocznika. A tych roczników, zdolnych do noszenia broni, było co najmniej szesnaście (1910—1926), co w efekcie przynosiło 96 000 poborowych. Wskazuje to na rezerwy ludzkie, jakimi rozporządzała Warszawa, a przecież w obliczeniach nie brałem pod uwagę kobiet, których było w Okręgu Warszawskim AK wciągniętych do konspiracji około 4500.

Z tych zasobów ludzkich można by wystawić, bez żadnej przesady, pięć

Przed godziną „W”

Lesław M. Bartelski

szawskie” — Okręg rozporządzał 50 670 zarejestrowanymi żołnierzami podziemia, choć były to obliczenia „na papierze”, teoretyczne. Ilu z nich zgłosił się na punkty wyjściowe do szturm i stan do walki?

Zaprawiona w konspiracji i przygotowana do akcji, kadra wynosiła ponad 1100 oficerów, w tym 6 generałów i 25 wyższych oficerów dyplomowanych. Na czele obwodów stali — I-ego (Śródmieście) ppłk „Radwan” — Edward Pfeiffer; II-ego (Zoliborz) ppłk „Zywiec” — Mieczysław Niedzielski; III-ego (Wola) mjr „Waliłgora” — Jan Tarnowski; IV-ego (Ochota) ppłk „Grzymała” — Mieczysław Sokółowski; V-ego (Mokotów) ppłk „Przegonia” — Aleksander Hryniewicz; VI-ego (Praga) ppłk „Andrzej” — Antoni Władysław Zurowski; VII-ego (podmiejskiego) mjr „Bronisław” — inż. Kazimierz Krzyżak i VIII-ego (Okęcie) mjr „Wysocki” — Stanisław Babiarz, będący jednocześnie dowódcą 7 pułku piechoty AK „Garłuch”. Pięciu z tych oficerów wywodziło się z piechoty, dwóch z kawalerii, jeden był saperem.

Obwody dzieliły się na rejony, a było ich 33 w Okręgu. Rozkaz o godzinie „W” musiał być dostarczony ich komendantom za pośrednictwem sztabów obwodów, te rejony zaś z kolei kierowały go do jednostek. Część rejonów, jak otwocki (kryptonim „Fromezyn”), znajdowała się już po stronie radzieckiej, część, jak Marki (kryptonim „Celków”) lub Rembertów (kryptonim „Dęby”), na linii frontu, wszędzie oddziały AK pozostawały w stanie pogotowia bojowego.

Warszawa pod koniec lipca 1944 r. liczyła prawie milion mieszkańców, z czego na lewobrzeżne dzielnice przypadało około 800 000 ludzi. Przez wojnę stawało w stolicy corocznie do poboru 12 000 mężczyzn, jak wykazywał „Mały Rocznik Statystyczny” z 1939 r. Jeśli nawet przyjąć straty ludzkie z okresu 1939—1944, w tym wymordowanie ludności żydowskiej, to trzeba stwierdzić, że latem 1944 r. można by zmobilizować szacunkowo po 6000 mężczyzn z każdego rocznika. A tych roczników, zdolnych do noszenia broni, było co najmniej szesnaście (1910—1926), co w efekcie przynosiło 96 000 poborowych. Wskazuje to na rezerwy ludzkie, jakimi rozporządzała Warszawa, a przecież w obliczeniach nie brałem pod uwagę kobiet, których było w Okręgu Warszawskim AK wciągniętych do konspiracji około 4500.

W Warszawie, poza Armią Krajową, byli jeszcze żołnierze Armii Ludowej

Unikalna fotografia

Dokończenie ze str. 3

teowej. On był w oddziale najmłodszym żołnierzem.

Był zmęczony, choć przecież nie się jeszcze nie działo, nie było żadnej walki, więc kiedy zapadł zmrok, położyli się razem z Januszem Piskiewiczem na wielkim stole, zawalonym bronią i amunicją. Musieli ją zsuwać na boki, żeby mieć trochę miejsca dla własnych sił. Potem zasnęli kamiennym snem. W nocy obudziła ich straszliwa strzelanina. Nie wiedzieli, co się dzieje, kto to kogo strzela. Potem zasnęli znowu. Powiedziano im później, że w nocy wjechał na bocznicę niemiecki pociąg pancerny i że była walka... Rano pociąg już nie było, tylko na Łęczyskiej i na przyległych uliczkach leżeli zabici Niemcy. W jednym miejscu, w party o mur domu, siedział martwy niemiecki żołnierz z urwaną nogą; kikut obwiązany był skrwawionymi bandażami. Był to jeden z rannych znajdujących się w pociągu, nogę stracił już wcześniej. Gdy w nocy na bocznicę kolejowej rozpoczęła się strzelanina,

prawdopodobnie w panice wyskoczył z wagonu, chcąc się poddać, i czuł się gdzieś przed siebie, w ciemność... Ten bezbronny, skrwawiony niemiecki trup zrobił na piętnastoletnim chłopaku straszne wrażenie: więc tak wygląda wojna w zwyczajnym, niebohaterskim wymiarze!

Ale zaraz przestał o tym myśleć. Bo oto na Łęczyskiej pojawił się pierwszy radziecki czołg. Musiała to chyba być jedna z maszyn rozpoznawczych (Rosjanie wprowadzili do walki główne siły dopiero następnego dnia). Więc była nagle wielka radość, wiatowanie, głowy młodych czołgistów wychylające się ponad stalowy pancerz, wzajemne uściski, wymiana wojennych trofeów — niemieckich kordzików na niemieckie lornetki. W ogóle wszyscy wokół zachowywali się trochę jak niedorośli, jak chłopcy. Bo prawdę mówiąc, i powstańcy i czołgisti, mimo tylu wojennych przeżyć, byli prawie wszyscy bardzo młodzi, ledwie wyrosli z wieku chłopięcego... Potem Rosjanie zaczęli wołać: „Gdzie Niemcy?”. A Niemcy byli wówczas na skrzyżowaniu ulicy Łęczyskiej z ówczesną Fabryczną, przy kościele św. Michała. I ci czołgisti wołali jeszcze do Witka, żeby wsiadł

do nich na czołg i wskazywał drogę. Ale on pokręcił głową, że nie, bo nie wolno mu opuścić swojego oddziału. Więc Rosjanie zatrzasnęli klapy i ruszyli przed siebie. A po chwili od strony kościoła, tam, gdzie pojechali, dobiegły odgłosy wystrzałów armatnich i broni maszynowej i wykwił nad domami słup ognia i dymu. Witek pomyślał: „Co by to było, co by to było teraz zostało, gdybym jednak postuchał tych chłopaków i wsiadł do czołgu?” Więc na wojnie można zwyczajnie, z minuty na minutę, zginąć, przestać żyć! Mimo że jest się młodym, zdrowym i przed chwilą miało się jeszcze wszystko przed sobą! Albo można zostać okaleczony na całe życie... W kilka godzin później Januszek Piskiewicz stracił nogę.

W centrum miasta toczyły się walki. Przez łąki nad Bystrzycą, od strony Podwala, widzieli wybuchy granatów. Przełożeni Witka mówili, że trzeba będzie tam wyruszyć i włączyć się do walki. Ale ostatecznie oddział poszedł w inną stronę Śródmieścia: biegli pochyleni przez ul. Rusalka, rowem obok jezdni, w kierunku Dolnej Panny Marii. I potem — ulicy Górnej. U wejścia w Górą ostrzelano ich z okienek w ścia-

nie narożnej kamienicy. A na samym skrzyżowaniu Górnej i Dolnej Panny Marii, na środku jezdni, stała trumna. Dlaczego trumna? Skąd tam się wzięła? Czy była pusta, czy wewnątrz leżały zwłoki? Do dzisiaj Witek Zarychta nie może zapomnieć tego widoku, tej sceny niczym z jakiegoś surrealistycznego filmu. Tak samo, jak nie potrafi wymazać z pamięci innego nieprawdopodobnego obrazu tamtych dni walki o Lublin: w dzielnicy, z której wycofali się już Niemcy, stał na skrzyżowaniu niemiecki żołnierz z żandarmerii polowej i przy pomocy dwóch „lizaków” dyrygował ruchem. Tylko, że na ulicy nie było ani jednego niemieckiego samochodu, a jezdnię ciągnęły oddziały radzieckiej kawalerii, nie zwracając zresztą na Niemca najmniejszej uwagi.

Lecz wracajmy na ulicę Górą. Oddział Witka zdobył dom pod numerem ósmym, gdzie — jak chłopiec usłyszał — miał się zakwaterować sztab. Dopiero po wielu latach przeczytał w jakiejś historycznej publikacji, że przy Górnej 8 znajdowała się przez pewien czas siedziba sztabu Armii Krajowej podczas akcji „Burza”.

23 lipca wojska radzieckie toczyły ciężkie walki o Lublin i w tym samym dniu miasto zostało zdobyte i wyzwolone. Witek przedzierał się tego dnia przez Okopową w stronę Alei Racławickich, żeby zobaczyć się z matką, która szukała go wśród zabitych. I to — przede wszystkim — z owego dnia pamięta że na dachu kamienicy na rogu Szopena siedział niemiecki „gołębiarz”, strzelec wyborowy, który chciał

z Komendą Obwodu (Okregu) na czele, choć Dowództwo Główne AL, jak i część oddziałów wyruszyli pod koniec lipca do Lublina, by połączyć się z 1 Armią. Mimo to w stolicy przebywało około 800 żołnierzy liniowych AL, nie licząc sił pomocniczych. Oddziały Korpusu Bezpieczeństwa (OW KB), dotychczas podporządkowane AK, liczyły około 700 ludzi, jednak komendant główny tej organizacji, płk „Tarnawa” — Andrzej Petrykowski, również podążył do Lublina, by zgłosić swoich podwładnych dowództwu Wojska Polskiego. Polska Armia Ludowa (PAL) rozporządzała 500 zwolennikami, aczkolwiek jej oddziały bojowe były nikłe. Inne grupy lewicowe, jak Organizacja Wojskowa Powstańczego Pogotowia Socjalistów (OW PPS) czy też Milicja PPS, w której skład wchodził przede wszystkim pracownicy służb komunalnych, zachowując swe struktury organizacyjne, podlegały taktycznie Komendzie Okregu AK. Na czele warszawskich oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) stał płk w st. spocz. „Topór I” — Spirydion Koiszewski. Liczyły one około 2000 żołnierzy, ale ich kierownictwo polityczne było przeciwne akcji zbrojnej w stolicy.

Tak więc Warszawa okazała się „zbiornicą” kadr i zasobów ludzkich, które mogłyby stanowić poważną siłę, gdyby posiadały broń. Jednak wyposażenie powstańców nie odpowiadało w żadnym stopniu możliwościom bojowym żołnierzy Okregu AK. Rozporządzali oni zaledwie 47 cekaemami i elkaemami, 145 erkaemami, 637 pistoletami maszynowymi, 29 piatami i karabinami przeciwpancernymi, 6 moździerzami piechoty, 10 granatnikami, pewną ilością miotaczy ognia (wyprodukowanych w podziemiu) oraz 2629 karabinami zwykłymi (kb i kbb) i 3846 pistoletami krótkimi.

Takie liczby podał w swym dziele Adam Borkiewicz i nikt do tej pory ich nie skorygował czy uzupełnił mimo upływu lat. Jest to korekta bardzo trudna ze względu na brak kompetentnych źródeł. Z pewnością powstańcy mieli więcej pistoletów krótkich, gdyż niektórzy z nich wnieśli do walki „własną” broń, najłatwiejszą do zdobycia na przeciwniku. Szczególnie w ostatnich dniach przed powstaniem nastąpiło zwiększenie akcji zdobywania lub kupowania broni.

Podstawowym uzbrojeniem dla wielu oddziałów były granaty ręczne i butelki samozapalające, wypełnione benzyną. Ale i ich brakowało, podobnie jak pistoletów maszynowych, w które powinna być, według podziemnych regulaminów, wyposażona każda drużyna szurmowa (10 żołnierzy).

Całe to uzbrojenie, pomijając już jego jakość, mogło od biedy starczyć na wyposażenie pułku piechoty regularnej armii. Wychodzące na wojnę w 1939 r. pułki, na 91 oficerów i 3212 podchorążych, podoficerów i szeregowych, miały po 36 do 48 cekaemów, 6 moździerzy piechoty, 30 karabinów ppanc. na każdy pluton przypadał ponadto 1 erkaem i 1 granatnik, co dawało w sumie 27 erkaemów i 27 granatników. A

przecież pułk dysponował dwoma działami 75 mm i był wspierany przez artylerię polową i ciężką swej dywizji, oddziały przydzielone (niejednokrotnie bataliony broni ciężkiej), artylerię ppanc. i przeciwlotniczą, kompanię cekaemów plot.

Tymczasem „Baszta” rozporządzała: 1 cekaemem, 13 elkaemami i erkaemami, 2 piatami, 2 granatnikami, 80 pistoletami maszynowymi, 187 karabinami zwykłymi. Z trudem wystarczałoby tej broni na normalny batalion piechoty, pozbawiony zresztą broni ciężkiej. Ten pułk AK uchodził za jednostkę nieźle uzbrojoną przy stanie 32 oficerów oraz 2200 podchorążych, podoficerów, szeregowych i łączniczek.

Kiedy w sierpniu 1944 r. zaczęły się formować pułki piechoty 2 Armii WP, otrzymały po 54 cekaemy, 162 erkaemy, 427 peemów, 1729 karabinów zwykłych, 75 PTR-ów, czyli rusznic ppanc.; do tego dochodziło po 4 działa 76 mm, 12 armatek ppanc. 45 mm, 8 moździerzy ciężkich 120 mm, 27 moździerzy 82 mm oraz 18 moździerzy 50 mm.

Zestawienie wystarcza chyba za komendę...

...zwiększała skuteczność... której nie mogła zastąpić odwaga, bohaterstwo i poświęcenie, jakie cechowały żołnierzy powstania.

Niemcom nie brakowało broni, amunicji mieli pod dostatkiem, przestrzelali nieustannie seriami place i ulice miasta, tworząc ciągłą barierę ognia. Dla nich Warszawa miała bowiem ogromne znaczenie strategiczne i operacyjne, była niewątpliwie punktem frontu wschodniego jako zaplecze komunikacyjne i zaopatrzeniowe Grupy Armii „Srodek”. Doceniał to Hitler, doceniał Oberkommando der Wehrmacht (OKW) z gen. Guderianem na czele, jak i dowódca tego odcinka walki, marszałek polny Walter Model, uchodzący, nie bez podstaw, za jednego z czołowych dowódców niemieckich. Zajął się on z właściwą sobie energią „załataniem” luki na środkowym odcinku frontu wschodniego i odtworzonej 9 Armii Polowej (9 AOK), rozbitej w działaniach na Białorusi.

Sądzę, że zarówno dowództwo AK, jak i my wszyscy, ciesząc się klęską i odwrótem wojsk niemieckich, nie doceniliśmy zdolności organizacyjnej Niemców. 9 armia w krótkim przeciągu czasu, od 22 lipca poczynając, stała się poważną siłą bojową. Otrzymała do dyspozycji niektóre jednostki 2 armii, sąsiadującej z nią od północy, jak i posiłki z Węgier i Włoch. Z 2 armii przesunięto IV korpus pancerny SS gen. Herberta Gille; 73 dywizja piechoty stanęła do walki na linii otwockiej. Jako odwód zjawiała się w obszarze operacyjnym Warszawy dywizja pancerno-spadochronowa „Hermann Goering”, wzmocniona wiosną 1944 r. meklemberskim pułkiem grenadierów SS z 10 dywizji pancerny SS „Frunberg”. Stąd też wśród poległych jednostki „Hermann Goering” byli również SS-mani.

Warszawa weszła 1 sierpnia w obszar operacyjny 9 armii, jej dowódcy, gen. Nicolausowi von Vormannowi,



Pomnik Lotnika przy placu Unii Lubelskiej ze znakiem Polski Walczącej, wymalowanym na cokole jeszcze w 1942 r. przez żołnierza Szarych Szeregów, „Rudego”.

podlegał odcinek obrony od stolicy Polski (włącznie) aż do Puław (włącznie), liczący w linii prostej około 120 kilometrów długości, ale najważniejszym ośrodkiem bojów stało się przedmoście praskie.

W rejonie Wołomina 9 armia stykała się z 2 niemiecką armią, której dwie dywizje pancerne (19 dolnosaksońska i 4-ta) działały na podejściach do Warszawy poza Wisłą. Bezpośrednią obroną przedmościa praskiego dowodził w sierpniu 1944 r. gen. von Saucken, dowódca XXXIX korpusu pancernego; miał on pod sobą 73 dywizję piechoty (rozbita na Krymie, została uzupełniona na Węgrzech do stanu 10 800 żołnierzy), jednostki pomocnicze, m.in. nowo sformowaną 1131 brygadę grenadierów, 6 pułk ochrony „Warschau”, różne od-

działy jak i dywizyjny artylerii plot. 6 Floty Powietrznej. Południowym skrzydłem 9 armii kierował gen. Hartmann, dowódca VIII korpusu pancernego, podlegała mu 1132 nowo sformowana brygada grenadierów pilnowała brzegu Wisły na południe od Wilanowa. 9 armii podlegał też warszawski garnizon, złożony z żołnierzy piechoty, jednostek SS, lotników, artylerii przeciwlotniczej, policji, SA, Werkschutzów i Bahnschutzów, żandarmerii powiatowej.

Dla Niemców, co trzeba podkreślić, utrata stolicy Polski stanowiłaby także porażkę prestiżową.

Fragment nowego, specjalnie napisanego II rozdziału do IV-ego wydania „Powstania Warszawskiego”, które ukazało się nakładem „Iskier”.

Zdjęcia reprodukowal Robert Lipski

go zabić. I do którego on także strzelał, trochę na oślep, ze swojego karabinu. Po latach dowiedział się Witek przypadkowo od jednej swojej znajomej, że właśnie wtedy „gołębiarz” zastrzelił jej małą siostrę, gdy na placu w zbiegu Okopowej i Lipowej (dziś wznoszą się tam bloki mieszkalne) zbierała kwiaty dla wkraczających do miasta żołnierzy...

Po wyzwoleniu Lublina Witek Zarychta wrócił do szkoły, działał w harcerstwie w I Drużynie Zeglarskiej, zrobił maturę w „ogólniaku”, a potem zaczął studiować na KUL-u historię sztuki. Ale wkrótce zainteresował go teatr. Wyjechał do Warszawy, od 1951 r. był adeptem w Teatrze Polskim, w 1953 r. zaangażował się do teatru w Opolu za dyrekcji Krystyny Skusanki. Przez siedem lat występował na tamtejszej scenie, zapisując się w pamięci publiczności m.in. jako Kirkor w „Balladynie”, Jan w „Fantazym”, Zbigniew w „Mazepie”, ksiądz Orsini w „Wieczorze trzech króli”. Przelećki w „Przebieczerce” Te ostatnią rolę grał notabene w Opolu już gościnnie, po przeniesieniu się (zdawszy w 1959 r. eksternistyczny egzamin aktorski w warszawskiej PWST) w 1960 r. do Lublina. Przez cały okres pobytu w Opolu związany był z tamtejszą rozgłośnią radiową jako spiker oraz lektor; później te związki z radiem kontynuował w Lublinie.

W Teatrze im. Osterwy rozpoczął pracę od roli w „Sulkowskim” Zoromskiego. Widzieliśmy go następnie w niejed-

nej ciekawej roli, mian. jako Anatola w „Inkarnie” Kazimierza Brandysa, Wernyhore w „Weselu” Wyspiańskiego, Tybalt w „Romeo i Julii” Szekspira, Narratora w „Śmierci Gubernatora” Leona Kruczkowskiego, Jakuba we „Wrogach” Gorkiego. Ostatnio występuje w „Operze za 3 grosze” Brechta oraz „Zmowie świetoszków” Bulhakowa.



Spolecznie Działal Zarychta przez wiele lat w Związku Zawodowym Pracowników Kultury i Sztuki, w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Teatru i Filmu, pełniąc funkcje przewodniczącego lub członka zarządu; był przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Okregu SPATIF, a także — przez szereg lat — ławnikiem w Okrę-

gowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie.

Kończymy rozmowę. Witek chowa dokumenty, wycinki z gazet, zdjęcia... „Wiesz — mów! — coś sobie jeszcze przypomnielim; jeden taki refleks z tamtych lipcowych dni... Jak już Lublin został wyzwolony, nasz oddział przez kilka dni był zakwaterowany przy ulicy Strażackiej. Nosilem na głowie niemiecki hełm, na grzbiecie jakiś francuski stary wojskowy płaszcz, a na ramieniu mój dziesięciopięciopalcowy karabin... Z tej Strażackiej chodziliśmy codziennie w zwartym szyku na obłady do stolówki w dawnym pałacyku przy ulicy Staszica. W gruzach, po piwnicach siedziało wtedy sporo ukrywających się niemieckich żołnierzy. I jednego razu po drodze na obład zobaczyłem, jak z piwnicy przy Narutowicza wyciągają Niemca. Ja tego Niemca poznałem od razu pilnował mnie podczas niedawnego kopania okopów wokół Lublina. On mnie też poznał. I wiesz, on się wtedy do mnie uśmiechnął. Do tej pory nie wiem, czy to był uśmiech przyjazny, czy gorzki, refleksyjny taki na temat zmienności losu, czy też uśmiech przymiły, służalczy, bo to ja teraz miałem karabin, a on był bez broni. A może on po prostu cieszył się, że w tej wojnie nie mu już nie grozi oprócz niewoli?”

Witek Zarychta

Tadeusz Piekło

Na dnie powietrza — nasze wątle ciała,
zlepione z wody, gliny i przestrzeni,
przemykające w labiryntach cieni,
skostniałe w chłodach, lepkie od upałów.

A ponad nimi, w niedoścignych dalach
trwają mijają atrapy dla myśli,
która dosięgnąć pragnie i uściślić
to, co się w zmysłach jedynie dopala.

Nie wiedząc wiele, nie widząc daleko —
błądzimy w gąszczu materii i czasu,
jak ślepe dziecko wśród gęstwiny lasu,
z zastygłą kroplą mroku pod powieką.

Tu mamy swoje święta i ośnienia,
wszechwładnie groźne piękno przenikania,
co niszczy dawne, by nowe odsłaniać,
zanim przeminie w porządku istnienia.

W zięjące próżnię, w nocie lodowcowe
wiodą nas coraz dalej wielkie ognie.
Wiemy, za nimi — bije niewymowne
źródło praźródła, słowo poza słowem.

Gubiąc pojęcia, odrzucając z góry
grządkę porządków, jakie myśl uprawia —
pragniemy wojąć niepojęte prawa,
istotę i ład najwyższej natury.

Nieodgadnione intuicji lotem
i niedostępne chcemy dojrzeć szczyty.
Wszystko, co mamy — to te czarnozłote,
mylące, gigantyczne rekwizyty.

Daj nam Boże, Panie Romanie,
w znanej ziemi bliskie spotkanie,
i tę trochę świętego spokoju,
po ogromnym, nieludzkim znoju.

Za wysokie były te schody,
gdzie nam wchodzić przyszło i schodzić.
Bliższe sercu były ogrody:
tam nikomu nikt nie zaszkodził.

Ma Pan rację: brzydka jest starość,
pusto, glucho, mózg z galarety...
No i ile rzeczy wspaniałych
mija, czeźnie przedtem, niestety!

Czy w wieczności także będziemy
ciążąc wspinąć się, ciężko trudzić?
Po tej stronie — jeszcze nie wiemy,
czego wieczność pragnie od ludzi.

Daj nam Boże, Panie Romanie,
bystre oko, wczesne wstawanie,
raźne nogi, siłę krzepiącą!

Aby portki wdziać na stojąco.

Gdy serce pali, jak stał do białości
rozgrzana w ogniu — staje przed barierą
ruchu, co w sobie zamiera, ku zeru
dążąc, donikąd, w bezruchu, do nicości.

Są dzieci światła i dzieci ciemności,
są zmysły, których pojęć nie umiemy,
aktorzy z innej przestrzeni i sceny,
goście innego czasu i wieczności.

Gdy serce pędzi, jak koń okulały,
który cwałuje w trwodze przez wertepy —
staje przede mną mroźna przestrzeń, cała
rozwarła w siebie, nieznana, bez kresu.

Czemu zaufa z gliny pęd pierwotny,
powracający w nieodgadłą głuszę?
Wierzy, że gasnąc — znów zapłonąć musi
odmiennym ogniem w czasie wielokrotnym.

jakże powoli się dopala
życie rozpięte w poprzek czasu
nim się zatrzaśnie wieczny lód

ukrzyżowani wolną falą
jej nigdy nie pojętym blaskiem
placzą u brzegów martwych wód

tonący w śniegach niepamięci
słowa jak liny na okręcie
rzucają z zawiewanych burt

„pójrż wstecz na scenę na popioły
stygające w mrozie pustki golej
kim byli
jak i dokąd szli

a my
ich pędy od korzeni
szukamy śladów w głębi ziemi
gdzie pogrzebano chore sny

tam beznadziejnie wiecznie mieszka
żałośnie kruchy barok wiersza
ślepą nadziela krótkich dni

REKWIZYTY

ROZMOWA
Z ROMANEM TURKIEM

PRZED
BARIERĄ

BIAŁY BAROK



„JEZELI chodzi o zdrowie, czuję się na swą 90-kę jak rydz. Tylko nie taki śmigły. Bez łaski ani rusz, a wkrótce poproszę o dwustronne szczudła”. Tak pisał do mnie w styczniu br. Wawrzyńca Berezecki, redaktor odpowiedzialny „Kamienia” w latach 1933—1938, mieszkający obecnie w Państwowym Domu Rencisty w Ró-

Berezecki nieraz mówił mi, że przegrał los że zmarnował swoje życie. Ale nie żałuje niczego. To nie że mało utworów opublikował że pisał bardziej do szuflady. Zawsze podkreślał że została mu satysfakcja, że był właśnie takim jakim był — niespokojnym duchem, trubadurem własnej młodości i poezji, a kiedy kochał, to dosłownie na śmierć i życie.

Twórczość literacka Wawrzyńca Berezeckiego jest prawie nieznana, znajduje się bowiem w rękopisach. Tylko nieliczne wiersze, opowiadania i fragmenty wspomnień były drukowane w czasopiśmie.

Jako jeden z niewielu znanych mi miałem okazję poznać znaczną część utworów pana Wawrzyńca — podarował mi stare wycinki z czasopiśm i pozyczył dwa grube kajety wierszy. W jednym jest zgromadzonych kilkaset wierszy w języku rosyjskim z lat 1912—1926, w drugim kilkadziesiąt pisanych po polsku (lata 1920—1952).

Szczególnie zainteresowały mnie wiersze pisane po rosyjsku, odzwierciedlające zmiany zainteresowań, poetyckich fascynacji autora i wpływ modynych w poezji kierunków na jego własną twórczość. Oczywiście moja znajomość języka rosyjskiego nie zawsze wystarczała, tym bardziej, że Berezecki w wielu wierszach tworzył neologizmy

90 - lecie urodzin Wawrzyńca Berezeckiego

„Czuję się jak rydz...”

żance k. Włodawy. Listy od pana Wawrzyńca — zabarwione takim poczuciem humoru i autoironią — otrzymuję już od ponad roku

Główną treść tej korespondencji stanowią wspomnienia Jakby fragmenty dziwnie montowanego filmu, w którym pojawia się postać ucznia gimnazjum rosyjskiego w Chełmie redaktora czasopiśm w Polsce międzywojennej, ogrodnika z Żółtaniec k. Chełma, a w końcu pensjonariusza domu rencisty. Bohatera tych listów znajduję w Moskwie, dokąd wyjechał w 1915 r., gdzie kontynuował naukę w gimnazjum, pracował w fabryce pocisków i jako sanitariusz na dworcu przyjmując rannych żołnierzy. Widzę go na dachu pociągu z Moskwy do Piatigorska czy Batumi, dzień i noc jadącego w odwiedzin do swojej młodzieńczej sympatii. Płonące budynki gorzelni — rewolucja. Później powrócił do Moskwy, Mieszkał wtedy u pewnego popa na Arbacie, syplając na „bruchatym kuferku”

W lipcu 1918 r. Berezecki wrócił do Chełma. Jednakże jego pełna temperamentu natura wagabandy nie pozwoliła mu na pędzenie osiadłego trybu życia. Do 1928 r. często zmieniał miejsca zamieszkania: Kowel, Równe, Kraków, Chełm... Przez pewien czas myślał nawet o wyjeździe do Berlina w poszukiwaniu ukochanej Róży a kiedy zginęły mu formularze paszportowe zamierzał nielegalnie przekroczyć granicę, podając się za rosyjskiego emigranta. Na szczęście odnalazł Różę w Polsce i nie wyjechał.

Wielką miłość do Róży to drugi temat naszej korespondencji i rozmów. Zaraz na początku znajomości pan Wacek (tak się kazał nazywać) wręczył mi kajet przepisanych kalligraficznie listów i znacznie więcej nie przepisanych — historię tragicznej miłości, która, jak stwierdził, może się stanie dla mnie kiedyś inspiracją do napisania powieści. Blisko piętnaście lat życia zamkniętych śmiercią Róży w 1934 r., schowanych w niedużym, ale ciężkim tekturowym pudełku. „Od Róży do Różanki” — powiedział przed przeprowadzką do domu rencisty, zastanawiając się nad dziwnym pokrewieństwem tych słów wpisanych we własny tytuł.

i używał słów, których na próżno szukałem w słowniku.

Najstarsze teksty sam autor nazywał „dziecinadą” zwracając mi tylko uwagę na precyzyjną, staranną formę. Później pojawiły się wiersze rozwichrzone, dźwiękonaśladowcze i pełne dziwacznych słów, przeplatające się z bardziej nastrojowymi, malarskimi, choć czasem trochę sentymentalnymi. W końcu jednak nad fantazją przeważyła dbałość o formę, co potwierdza nowsza twórczość w języku polskim. Najciekawsze wydały mi się wiersze z tego środkowego okresu, tak różne od polskich publikowanych przed wojną i po wojnie. Dużo w nich może przesadnych uduwnień, ale są też fragmenty świadczące o zmysłowej wyobraźni młodego wówczas poety i o jego umiejętności subtelnej wyrażania uczuć. Spośród nich warto przytoczyć dwie zwrotki erotyki „Ty i ja” (tytuł oryginału „My”):

My przypadkiem w chacie urodzeni —
Czy pamiętasz może nęd,
Którą pajak cienko wół
Przy drewnianym u drzwi skobliu
w sieni,
By nas świat
Nadchodzący wprawił w zawstydzenie?

Rozpuściłem włosy szałfranowe,
Twój jedwabny lekki tok,
Aż mi w gardle zamarł głos
I tak w siebie wpiłiśmy się wzrokiem
Nieświadomie...

(tłumaczone przy współpracy autora)

Ta część twórczości Wawrzyńca Berezeckiego jest w ogóle nieznana, niech więc przynajmniej taki krótki fragment zaświadczy o jej istnieniu.

Natomiast z innych utworów wysuwają się na plan pierwszy wiersze satyryczne i tryskające dowcipem proza — „Encyklopedia Humorystyczna” czy fragmenty wspomnień „Tamte lata”, drukowane niegdyś w „Kamieniu”. Poczucie humoru przeniósł pan Wawrzyńca przez całą swoją twórczość — aż do Różanki, i ono właśnie pozwala mi pisać w listach, jak w przytoczonym na wstępie.

Paweł Berłowski

SZEF

Wojciech Próchniewicz

POCIĄG metra wtoczył się z hukiem i zatrzymał na stacji Luxemburg. Ludzie kolorowym tłumem spłynęli do podziemi. Jan szedł za grupą Murzynów. Jak zwykle robawieni, ze słuchawkami na uszach. Muzyka była im potrzebna tak, jak powietrze. Wszyscy byli ubrani w nowe rzeczy, a i tak wyglądali, jak małpki w kubraczkach. A jednak im zazdrościł, że czarni i mają, a on jeszcze nie. Sięgnął do kieszeni i namacał dziesięciofrankową monetę. Tyle mu zostało z tego, co przywiózł ze sobą. Kupi za to dwa piwa albo litr wina w tanim sklepie i bulkę. Niech to szlag trafił Wyjął kartkę i jeszcze raz przeczytał adres: rue de Vaugirard 214. Momentalnie wstąpiła w niego nadzieja. Jeśli się uda, to narazie będzie mógł głębiej odetchnąć paryskim powietrzem. Najważniejsze, że szef jest Polakiem.

Przy schodach clochard popija wina i zagryza kanapką z wędliną. Obok niego leżą południowe owoce. I takiemu jest nie najgorzej. Wystarczy, że stanie z wyciągniętą łapką. Paryżanie dają. W korytarzu, piętro wyżej, usadowił się niewidomy muzyk. Sonata Bacha dobrze brzmi w akustycznych podziemiach metra. Grający odkłada flet, namacał ustawione pudełko i sprawdza zarobek. Bilonu jest sporo. Janowi wystarczyłoby to na jakieś trzy dni. Przyspieszył kroku i w końcu ujrzał drzewa. Czasu było mało. Musiał więc skrócić sobie drogę przez Ogród Luxemburski.

Na ulicy Vaugirard, jasnej i upalnej, policjanci wlekli się leniwie. Nie mieli nawet ochoty, by ze sobą rozmawiać. Po godzinnej walce ze spiekotą Jan stanął przed bramą poszukiwanej kamienicy. Był na siebie zły. Gdyby wiedział, że ulica jest taka długa, że tak daleko do tego numeru, podjechałby jeszcze kilka stacji. Przesiadki nie nie kosztują.

Szyfr nie działał. Nacisnął klamkę i drzwi bramy uchyliły się. Przeszedł przez małe podwórze. Z przybudówki wyskoczyła dozorczyńca. Jan wystuchał jej portugalsko-francuskiego trajkotu i wyjaśnił na migi, że jest malarzem. Portugalka umilkła i schowała się do swojej budki. Wjechał windą na szóste piętro. Na bordowej wykładzinie było mnóstwo pyłu, a białe ślady wiodły do uchylonych drzwi. Wszedł do remontowanego mieszkania.

— Cześć! — zza ustawionych drabin wyszedł młody człowiek w poplamionym ubraniu i czapeczce z napisem „Coca-cola”. — Do roboty? — zagadnął, zeskrobując ze szpachli zeschnięty gips.

— Tak. Jest szef?
— Zaraz powinien być.
— Jak tu jest? — Jan podszedł do okna i wyjrzał na podwórze. Z naprzeciwka machała mu rączką mała, czarna dziewczynka. Obok, na balkonie, jakiś skośnooki podlewał kwiaty. Odwrócił się i popatrzył na mieszkanie. Było przytulne, mimo remontu. O takim marzyły tysiące młodych, a także podstarzałych ludzi w jego kraju. Kuchenka była mała i nowoczesna. Dwa duże pokoje miały okna wychodzące na podwórze.

— Umiesz kłaść enduit? — usłyszał głos rodaka.
— Co?
— No, ten gips — robotnik wskazał szpachlą worek z niebieskim napisem.
— Pokaż mi, jak to się robi — poprosił, a następnie dodał: — a tak w ogóle to ja jestem Jan — wyciągnął rękę.
— Leszek — uśmiechnął się rodak i podszedł do ściany.

— Zobacz, powierzchnia musi być tak gładka, a nawet bardziej, bo tutaj widać dwie dziurki. Czeka cię ściana płaczu.

— Bez przesady — mruknął Jan — pokaż, jak to się robi.

Leszek nabral na szpachlę nieco enduitu i wykonał niezdarne ruchy. Cała porcja chlapnęła na podłogę. Skrzywił się i nabral jeszcze raz. Znowu nie wyszło.

— Jestem tutaj dwa tygodnie i jeszcze nie potrafię tego robić — mruknął zniechęcony i odrzucił szpachlę.



Rys. Józef Tarłowski

Jan nie rozumiał. Skoro nie potrafił, dlaczego szef go zaangażował? Tu panowało przecież prawo najlepszego. Snuł domysły, że Leszek jest krewnym lub dobrym znajomym szefa. Ten, jakby zgadując jego myśli, powiedział:

— Robiłem z szefem przy oknach. Wziął mnie do ścian tylko ze zwykłego sentymentu. Dawno nie pracowałem z Polakiem.

Skrzypnęły drzwi. Wszedł szczupły, ciemny mężczyzna. Lat mógł mieć na oko czterdzieści.

— Skąd masz adres? — zapytał ostro.

Jan wymienił nazwisko.

— Nie wiem, czy dasz sobie radę, ale możemy spróbować. Przez pierwsze dni nie będę ci płacił.

— A od kiedy?

— Jak zobaczę, że coś robisz. Teraz pokażę ci, jak się kładzie enduit — szef podniósł szpachlę rzuconą przez Leszka i krzyknął do tamtego:

— Jak jeszcze raz zobaczę, że jest brudna, to wylecisz z roboty! — oczyścił starannie i z dużą wprawą pokrył dwa metry kwadratowe ściany francuskim gipsem. Następnie kazał Janowi podejść bliżej i przyrzuć się. Zachowywał się tak, jakby na ścianie oglądali przez odpowiednie przyrządy powiększające mikroby.

— Rozumiesz? — spytał krótko, a Jan natychmiast pokiwał głową.

Zaczęły się dni ciężkiej pracy. Jan jeszcze nigdy tak nie tyrał. Pracę zaczynali o dziewiątej i kończyli o dwudziestej drugiej. Szef kłął i poganiał, bo termin oddania mieszkania zbliżał się nieubłaganie. Każdy dzień zaczynał od ostrych poleceń i gróźb. Jan jednak zrozumiał, że ma szansę, by utrzymać tę pracę, a jego atutem stała się umie-

jętność pokrywania ścian ozdobnym gipsem. Robił to lepiej od samego szefa. Zrozumiał, że teraz nikt go już nie wyrzuci. Od niego zależał w największym stopniu stan odnawianego mieszkania. Cieszył się jak dziecko i już obliczał przyszłą swoją wypłatę. Poprzedniego dnia szef podszedł do niego po pracy i dał mu dwieście franków.

— To na żarcie — powiedział szorstkim tonem — nie chcę, żebyś mi tutaj padł!

Jan mógł mu teraz powiedzieć coś odwrotnie i prosto w oczy, ale nie zrobił tego. Postanowił wytrzymać do końca. Zawsze lepiej się wychodzi, trzymając język za zębami.

Któregoś dnia szef wyrzucił Leszka. Nie potrafił kłaść gipsu. Nie nauczył się tego i sentyment bossa nie pomógł mu. Przez dwa ostatnie dni prace wykończeniowe robił Jan samotnie. Kroił się spory szmal.

Po wypłatę jechał z wielką nadzieją. Zatrzymał się w Les Halles. Wyszedł na drugie piętro. Przypominał wspaniałe kurtki, buty, płaszcz. Nęciły go skomplikowane urządzenia elektroniczne. We „Fnacu” stały rzędem kolorowe japońskie telewizory. Regulował, ustawiał barwy tak, jakby jeden z nich już wkrótce miał być jego własnością. Z szefem umówił się o dwudziestą drugą w centrum Paryża, miał więc jeszcze kilkanaście minut. Pojechał schodami dalej, do góry. Wyszedł na Saint-Denis i ruszył wzdłuż kolorowych neonów, reklamujących sex-shopy. Z bram powoli wychodziły dziewczynki i ustawiały się pod murami w specjalnych strojach do pracy. Zauważył, jak pełna Murzynka mruga do niego. Minął dwie kolejne bramy i stanął przed zgrabną blondynką. Zagadnął po angielsku. Nie rozumiała. Spróbował po niemiecku. Też nie. Zaklął głośno.

— Spieprzaj! — usłyszał nagle. — Nic tu po tobie!

Polaki zabrzmiał wyjątkowo w tej erotycznej scenarii. Podniósł zacisniętą pięść i chciał uderzyć tę niekulturalną dziwkę, ale z bramy wysunął się prawie dwumetrowy Arab i spojrzal na niego z góry znaczącym wzrokiem.

Po kilkunastominutowym poszukiwaniu upatrzył sobie zgrabną i bez przesady wystrojoną Azjatke. Pomyślał, że przyjdzie do niej za kilkadziesiąt minut.

Wrócił na róg Saint-Denis i rue Cosson. Szef już czekał. Oparty o starego peugeota, żywo gestykutował, opowiadając coś... Leszkowi Obaj byli w znakomitych humorach. Gdy ujrzeli Jana, momentalnie spoważniali.

— Robota jest nie przyjęta — zakomunikował sucho szef i wyciągnął w jego kierunku dwustufrankówkę. — To na pocieszenie!

Jan automatycznie wziął banknot i schował do kieszeni.

— Kiedy będzie reszta? — zapytał zduszonym głosem.

— Nie będzie.

Spojrzał na szefa. Kpił sobie wyraźnie. Słyszał o podobnych numerach, ale nigdy mu nie przyszło do głowy, że i jemu może się coś takiego przydarzyć. Zdecydował szybko.

— Chcę mieć pieniądze jutro o dziesiątej. Będę czekał w „nie przyjętym” mieszkaniu! — powiedział głośno i stanowczo.

Odszedł, nie spoglądając na ich twarze. Drżał cały i kłął po polsku. Jakiś Murzyn zagadnął go po rosyjsku o papierosa, ale nawet to go nie rozmięszło. Chciał tamtym rozwalić pyski, ale wszędzie było pełno ludzi. Zostawił sobie tę przyjemność na następny dzień.

Rano był punktualnie o dziesiątej. Minęła jedenaasta, a z windy, nikt na szóste piętrze nie wysiadł. O dwunastej wyważył drzwi i wszedł do saloniku. Kawalkiem stalowego pręta poruszył i poobijał ściany. Pracował w zaślepieniu. Z gniewu ciemniało mu w oczach. Nagle poczuł, że ktoś szarpie go za ramię. Odwrócił się i przez ulamek sekundy widział szefa stojącego w drzwiach. Ale potem dwóch rosyjskich drabów zaczęło okładać go gumowymi pałami i stracił przytomność.

Mała, czarna dziewczynka pochylała się nad nim i z dziecięcym zdziwieniem patrzyła, błyskając białkami oczu. Świat kołysał się w przyspieszonym tempie. Było mu zimno. Czuł siebie jak żywą ranę. Leżał pod śmietnikiem. Spojrzał w tunel wytyczony pionowymi ścianami kamienicy. Tam, gdzie jaśniał kawałek nieba.

JEDNA ma lat z górą 60, druga może 80. Siedzą przez dzień cały w cieniu starego klonu, na przyzbie swojej oficyny. Kolyszą się monotonnie, czasem w rytm wiatru. Nieraz podnoszą głowy i tęsknie wodzą okiem po oknach kamienicy. Kiwają smętnie głowami, ręce pomarszczone wspierają na brzuchach, unosząc je z rzadka, by odgnać muchy, stadnie wydobywające się z pobliskiego śmietnika. Milczą, milczą długo i cierpliwie. Od czasu do czasu spojrzą jedna na drugą i wówczas z wolna, niemrawo coś zagadają do siebie; lecz jakby stale o tym samym. Wydaje się, że wciąż odmieniają między sobą jedną tylko rozmowę, której szczątki udało mi się kiedyś zasłyszeć.

— My tu całe życie w oficynie, a ta, zobacz, sama tu stale chodzi i dał jej mieszkanie w kamienicy, na piętrze.

— Musi, że ona jakaś gruba ryba, kiedy jej tak dali.

— Co tyż, jakby była taka, to by jej dali jakie eleganckie, w nowym bloku.

— Nie wiadomo, co to za jedna. A jaka elegancka, stroje ma różne takie, paksowne...

Przepowiedzą parę takich zdań i znowu milkną i siedzą długo, długo, bezstawnie. Czasami mogłyby się wydawać postaciami wyjętymi z Beckettowskiej „Kościółki”, tyle tylko, że

ich sytuacja egzystencjalna, ich ból istnienia ogranicza się chyba do nieważnych gestów, posyłanych mieszkańcom kamienicy. Nie lubią niczego, co zdarza się w kamienicy, nie lubią nowych mieszkańców, ani nowych szranek w cudzym oknie, ani cudzego samochodu, kiedy zajadzie w podwórzu, ani cudzych dzieci, babszczących się nieustannie w błotnistej płaskowalcy.

A ci z kamienicy to społeczeństwo, by tak rzec, towarzyskie, rozrywkowe, co życia nie chce w smutku marnotrawić. Pan Janek hoduje gołębie, rozprzeździł je na dachach wszystkich

nie wy czytać nie umiecie — śmieje się zadziornie pan Janek. — Trzymacie te książki od nabożeństwa do góry nogami i chcecie się popisać, żeście piśmienna.

Ta 80-letnia, nazwana przez pana Janka Szczyglową, wymachuje kościłą ręką i mruży coś do siebie. I pewnie tak do zmięzchu swarzyłaby się bardziej ze sobą niż z panem Jankiem, tyle że ulewny deszcz wmlata ją do domu.

Pan Janek, jako się rzekło, jest człowiekiem wiele towarzyskim, lubi życie wystawne. Otóż „kiedy dzień staje się równy nocy, a w lesie zakwita kwiat paproci” — jak sam mawia — pan Janek wypatruje tylko ładnej pogody i skupuje butelki...

Wczesnym niedzielnym popołudniem zajechały na podwórze dwie syrenki i wołga. Wysypało się wesolutki stadko.

Dokończenie na str. 8

Potem pan Janek obiegł kamienicę i sprostował połowę chyba mieszkańców, pozycząc po drodze to i owo, rozmaite drobniaczki niezbędne przy łmieniowym przyjęciu. Pan Janek powiada:

— Jan chyba jestem, co nie, bankiet wydaje, a co...

I na podwórzu poczęto wytaszczać stoły, krzesła i transportery butelek. Pan Janek zebrał bukiety róż, piwonii i jaśminu. Raz i drugi rozlano butelkę i zaczęły się zawożenia: „Sto lat, sto lat!”, ale jakoś nie szło. Aż tu podjechała jeszcze jedna syrenka. Goście pana Janka powitali ją z radością. Pan Zdzisław wynurzył się z syrenki chwiejnym krokiem, taszcząc przy boku harmonię. I zaraz zrobiło się weselej. Pan Zdzisław od razu zagrał i zanucił: „A ja nie chcę czekolady, chcę, by miłość dała mi ktoś”. Panie podchwyciły szybko: „Chcę, by zabrał mnie od ma-



Rys. Andrzej Bronikowski

my...” Pani Lusja rozrzewniała się, pewnie z przypływu wspomnień, otarła ukradkiem łzę. Pan Zdzisław wyczuł zaraz, że jego przygrywa ma wzięcie, zaciągnął ostro: „Harmonia z cicha na trzy czwarte różnie...” Z okien kamienicy wychyliły się głowy tych, których ominęło zaproszenie pana Janka.

A na podwórku panna Jadzia przytuliła się do pana Janka. Znowu polano kolejkę.

— Panie Zdzisiu, tango „Milonga” poprosimy — zapiszczała panna Jadzia i wcisnęła kruszego pana Janka w swe biodra rozłożyste jak żagle. Zaraz potem inne pary ruszyły śmiało po kocich łbach podwórza. Dzieci ciapały się w piaskownicy, pogryzając od czasu do czasu jakiś placek. A stara Szczygłowa pod ścianą swojej oficyny żegnała się od czasu do czasu, ze zgorznięciem kiwając głową. Pary kręciły się wtulone w siebie, spadały kapsle z butelek, pan Zdzisio ciął kolejne kawalki. Tylko mały Henio siedział umorusany na schodkach i pochlipywał z cicha. Jego matka, pani Kryśka z parteru, tańczyła zawzięcie z panem Waldkiem.

— Mąż mój pijak był i degenerat, nareszcie udało mi się go załatwić, siedzi w kiciu — jak zwykła z dumą mawiać — a mnie w końcu coś się chyba od życia należy...

Poczynano ciemnieć. Szczygłowa zbierała się ku izbie. Zawezwała więc pana Janka ku sobie i nakazała ciszę nocną oraz spokój. Pan Janek, napity już muś sporo, roześmiał się na tę mowę i uszczypnął starą Szczygłową w pośladek. Doświadczwszy takowej obrzydki, wolać poczęła:

— Milicja, milicja, spokoju nie dają, łobuzy. Jak tu żyć z taką bandą! — W rozczłapanych pantoflach dreptała w kierunku ulicy, mamrocąc po drodze: — Zeby na stare lata człowiek musiał się szterbać po nocy, chuligan, pijaki...

Poszła. A zabawa wciąż trwała. Pan Zdzisław, wprawdzie już mniej raźnie, ale pociągał jeszcze na harmonii. Pary objęły się wciąż o siebie, błędząc pomiędzy stolami. Pięćdziesiąt Tola, siostrzenica pana Janka, wbiegła pomiędzy tańczących:

— Wujku, wujku, tam w ogródku ktoś pieprzuje panią Kryśkę.

Ale nikt z biesiadników chyba nie usłyszał. Pary kręciły się dalej. Tylko Henio siedzący na schodkach zawył żałośnie. Szczygłowa, zostawiwszy swoje żale „na milicji”, wracała chyłkiem do domu. Zabawa wciąż trwała.

Ewa Chodkowska

Życie emeryta jest jak niedziela... Papierowe miasto

Wiesław Horabik

SA w Lublinie, jak i w całym kraju, różni emeryci. Są tacy, którzy u boku troskliwych rodzin dożywają pogodnie końca swoich dni, i tacy, którzy cierpią tragedię opuszczenia; tacy, którzy żywią się białym serkiem i ugotowaną po samarytańsku zupą, i tacy, którzy pają winstony i sączą pewexowską kawę; tacy, których przed anonimowością śmierci ratuje pomoc PKPS i pielęgniarzek środowiskowych, i tacy, których limuzynami dowozi się na honorowe spotkania. Normalnie, jak w każdym normalnym życiu. Jest jednak pewna oś wyznaczająca swoistą wspólnotę tej grupy obywateli. To, najogólniej rzecz biorąc, wielokrotna świadomość przemijania i nieodparta potrzeba potwierdzenia wartości przeżytego już życia.

W swoich licznych spotkaniach ze starszycami nie znalazłem jakiejś prawdy oczywistej; pragnąłem zresztą raczej kontaktu jednostkowego, który poprzez swą złożoność mógłby zobrazować część szerszego wizerunku. Spotkałem pewnego dnia emeryta nietypowego, a może nawet „neutralnego”, w którego życiu zabrakło pewnie ostrych barw i głębokich cieni. Była jednak pasja i wyobraźnia. Cechy, które, w moim odczuciu, decydują nieodmiennie o wartości człowieka.

— To jest moje miasto — mówi pan Marian i rozkłada na stole duży rulon twardego brystolu. Wyjmuje także następny ze starszowieckiej komody opartej o wypukłość ściany.

Siedzimy na stryżku jednego z nowych domów przy ulicy Trześniowskiej. Pan Marian ma tu pokój w synowskiej willi. Na rogach twardego papieru stawiamy ciężkie popielniczki, żeby leżał płasko. Białą kartę pokrywają czarne strużki ulic, miniaturowe kwadraciki gmachów i kępki ostrych jak główki od szpilek parkowych drzew. Jeszcze nie mogę się polapać w całym tym rojowisku.

— Człowiek musi coś robić — słyszę. — Od paru lat dobudowuję nowe dzielnice i ulepszam stare. Wieczorami chodzę po swoim mieście i odżywam. Wi-

dzi pan, tu, przy tej ulicy, jest moja ulubiona cukiernia. Żółte światło wylewa się na chodnik, a w samym rogu tarasu siedzi samotna dama w staromodnym kapeluszu. Jak u Van Gogha. To miejsce oznacza czerwona kropka. Wracam tu najczęściej.

Pan Marian przyjmuje papierosa. — Życie emeryta jest jak niedziela ciągnie. — Może dlatego nigdy jej nie lubiłem. Najwięcej domowych sprzeczek słyszy się właśnie wtedy. Z początku cieszyłem się jednak na te dni swobody i oblicywałem sobie wiele, ale już po kilku tygodniach wyobrażenia zaczęły blednąć, a mnie zabrakło programu. Wszystko zależy więc od człowieka. A dzisiejsi ludzie przypominają mi lisy pomykające chyłkiem z zapasami do swoich nor, wечно czujni na nowe krętaństwo, na wykazanie się sprytem, na przebiecie drugiego.

— A jak odbyło się pożegnanie?

— Wcale się nie odbyło. Ta tradycja także poszła w zapomnienie. Z kolegami wypilem w biurze herbatę, w kasie odebrałem jakieś pieniądze i wróciłem do domu. Od następnego miesiąca zaczęła przychodzić, nieregularnie zresztą, renta. To wszystko. Za wielu już nas jest, aby nawet skromnie zaznaczyć odejście człowieka. Kto ma teraz na to czas? Nie istnieją referenci od spraw ludzkich rozstań. Trzeba jednak coś po sobie zostawić. Choćby nawet takie miasto. Czy pan wie, że w afrykańskim buszu mógł żyć kiedyś drugi Szekspir?

Pani Janina — synowa — przynosi nam na górę kawę. Patrzy z uśmiechem na białoszarą plachtę brystolu. Pan Marian nie zwija rulonu. Dla niego jest kawa mała, w kruszej białej filiżance; dla mnie — pękaty dzbanek.

— Kiedy odeszła moja żona, zdałem sobie sprawę z obumierania własnego ciała. Połowa życia wtedy ode mnie odpadła. Choroba to najmniejsza udręka; mniejsza niż samo leczenie. Wysiadanie godzinami w zatłoczonych przychodniach. Rejestracja, której trzeba dokonać skoro świt, stosunek lekarzy jak do zawodowego hipochondryka. Do mojego kolegi nie chciało niedawno

przyjechać pogotowie. Był za stary. Takich ludzi nie trzeba ratować. W moim papierowym mieście są dwa cmentarze. Ale u mnie zmarłych spala się jak u protestantów. Nie zajmują wtedy tyle miejsca.

Teraz na stół wędruje drugi brystol. Jest równie zabudowany jak pierwszy. Pełno na nim kolorowych znaków.

— Te dwie części miasta dają mi poczucie przemijania — mówi pan Marian. — Czy pan wie, że ja oczekuję śmierci? Czekam na nią jak na coś nowego i niezwykłego. Nie boję się jej. Może czekam na nią nawet jak na przygodę? Ale to myślenie do przodu, a ja coraz częściej odwracam się wstecz. A najpierw było dzieciństwo i szkoła w Stanisławowie. To był świat żywy, przygraniczny, pełen kolorów. Ojciec pracował w tamtejszym Urzędzie Miar i Wag, a matka dbała o dom. Miałem jeszcze młodszą siostrę. Zginęła w 39-tym przy bombardowaniu Łukowa. Cały tamten świat wciąż marzy mi się wieczorami, bo był to świat młodości. Ale był to także świat wielu kultur. Nasze obecne życie jest zunifikowane i jednostajne. Nie ma już mniejszości narodowych i nie ma wielości obyczajów, nie ma różnic w zarobkach i nie ma niespodzianek w życiowej karierze. Nie ma innych bloków niż z wielkiej płyty i innej wsi niż pod eternitem. Nie ma mieszkań większych niż M-6 i mniejszych niż M-2. Nawet artyści mają teraz zunifikowaną długość bród i włosów. Dlatego w moim papierowym mieście jest tyle specjalnego nieładu. Niech pan spojrzy, do tych klubików z restauracjami starzy ludzie przychodzą na bale. Panowie przypinają muszki, a panie wkładają długie suknie. Zadbany stary człowiek jest piękny.

— A te czerwone kółka? — przerywam.

— Te stacja metra. U mnie istnieje już od dawna.

Przerywamy rozmowę i sączymy wolno ciemny napój, spoglądając na zielone liście drzew, napęczniałe latem.

— Przecież pan nie był urbanistą — mówię po chwili.

MIESZCZUCH W KAZIMIERZU

Irena Filus

POWODÓW do wizyty jest mnóstwo. Rozstawione na Rynku stragany zachęcają do opróżnienia portfeli. W podcieniach kawiarni i restauracji zatrzymują przechodni cymbaliści, skrzypkowie, harmoniści, śpiewacy. Cieszą oczy kolorowymi strojami. Można spotkać znajomych, napić się piwa, posiedzieć na murku lub na trawie. Pełny luz. Obowiązkowo więc trzeba w czerwcu do Kazimierza. Z miasta na ludową zabawę. Takowa zawsze była atrakcją dla mieszczucha.

Ten festiwal miał być od poprzednich odmienny. Po pierwsze — jubileuszowy, bo dwudziesty; po drugie — bezdeszczowy, bo pogoda stała jak druż; po trzecie — długi, bo trwać miał blisko tydzień; po czwarte i dziesiąte — obfity w nowości i na targach sztuki ludowej, i na estradzie. Tymczasem największą niespodzianką sprawił drewniany król Kazimierz. Kto by przypuszczał, że nie oprze się wiatrowi,

choć taki wszechpotężny i władczy. No cóż, królowe też miewają swoje upadki.

Jak tu opisywać Kazimierz, kiedy wszystko skrętnie opisane zostało na dziesięciu kolumnach „Burczybasa”, także jubileuszowego, bo wychodzącego od lat piętnastu. A nawet jeśli kogoś jednego dnia pominięto, zaraz zjawiał się w biurze prasowym i udzielał wywiadu lub pozwalał do karykatury i już następnego dnia mógł oglądać się na lamach.

Pozostaje zdać się na przeżycia zwykłego mieszczucha, człowieczka przeciętnego, posiadającego dwoje uszu i oczu, dwie ręce i nogi, i przeważnie nie posiadającego gotówki. Mogłabym to być ja.

pierwszym artystycznym wyrobem, jaki rzucił mi się w oczy, był wiklinowy kuferek za trzy tysiące. Nieco później ujrzałam go w rękach pewnego cudzoziemca, więc zniknęło niezdecydowanie: kupić, nie kupić... Natychmiast zainteresowałam się misternie dzierganą czarną koronką za sześćdziesiąt tysięcy. I to było znacznie rozsądniejsze, gdyż wtedy uprzytomniłam sobie, że na targi przyjechało około stu twórców. Ograniczyłam się w końcu do słomkowego kapelusza, za jedyne dwieście złotych, by z żaru nie dostać pomieszczenia zmysłów. Kapelusz zresztą spełniał swą podstawową funkcję bez zarzutu i dzięki niemu udało mi się trochę czasu spędzić przed konkursową estradą, ustawioną na Małym Rynku.

Niestety, niedługo, bo moją uwagę zaprzętały raczej ustronne ławeczki, ocienione alejki, podcienia kamienie, gdzie wygrywano na najdziwniejszych instrumentach i śpiewano przeróżne piosenki. To dopiero była frajda, tym bardziej, że spodobał mi się jeden harmonista, chłopiec jak malowanie, i przez godzinę zastanawiałam się, czym też może się różnić harmonia polska od guzikowej, guzikowa od pedałowej, pedałowa od dwurzędowej, i na jakiej on właśnie gra? Niestety, niedługo dane mi było cieszyć się muzyką, bo zagłuszył ją bełkot jakiegoś piewosza, który uparł się by zatańczyć właśnie ze mną. On bowiem, chłop-robotnik, musi właśnie dzisiaj uczcić swoje pochodzenie i wywinąć ze mną oberka. Jakoś udało mi się wywinąć...

Następnego dnia było jeszcze bardziej upalnie i nieco tłoczniej. Na Małym Rynku pozostały tylko miejsca stojące. Aparatura jakby trochę zachrypla. Dziwne, przecież nie żywi się lodami. Ale występy trwały bez przerwy. „Bosa-nózka” dla dzieci, później część konkursowa i wreszcie imprezy towarzyszące. Aż do wieczora, do ludowej zabawy. I wtedy umknął mi sprzed nosa interes. O godzinie 21-ej jakiś przedsiębiorczy handlowiec sprzedawał piwo wprost z samochodu. A że nie pod lampą, dotarli tam tylko słuchow-

— Nie. Byłem zwykłym urzędnikiem. Ale coś trzeba robić. Ja mam świadomość, że to tylko zabawa, ale podobno w moim wieku także trochę się dziecinnieje. Już od wielu lat przyglądam się życiu. Kiedyś, mimo coraz większych trudności w poruszaniu się, dużo chodziłem po Lublinie. Mijałem grupki hałaśliwych młodych ludzi, szukałem bezskutecznie kąta, gdzie można byłoby wypić w spokoju małą czarną i porozmawiać z ludźmi. To wtedy postanowiłem zbudować własne miasto. Niech pan spojrzy, ile tu miejsc, gdzie mogą się spotykać ludzie. Im dalej od centrum, tym domy stają się niższe i zyskują coraz więcej przestrzeni na ogrody i sady. Moje domy to nie tylko sypialnie, ale przede wszystkim miejsca rodzinnych ceremonii. Nawet kolacja byłaby świętem, choć popołudnia moi ludzie spędzają raczej u znajomych. Czy nie boi się pan teraz iść z żoną do restauracji na dancing? Byle pijany gnojek popsuje panu cały wieczór.

— A więc w pana mieście nie ma prawdziwych ludzi.

— Są. Są w nim także bójkę i napaady, i pożary. Ale jest i jakość życia. Niech pan zobaczy, ten herb to policja. Ma pan dziesiątki takich znaczków. Policja posiada helmy i palki, jak wszędzie. Utrzymuje porządek. Ale o tym myślę najrzadziej. Jest także w moim mieście i cwaniactwo, którego chorobliwie nienawidzę. To przykład całej etyki współczesnych. Weźmy zwykłą kolejkę w sklepie. Nawet dzieci są już wyszkolone w tanim cwaniactwie. Jakies takie, niby przypadkowe zatrzymanie z boku, spotkanie niby-kolegi, żeby tylko wcisnąć się przed drugiego. Dlatego w moim papierowym mieście nie ma kolejek.

Powstrzymuję uśmiech.

— A koleżdy? — kontynuuje pan Marian. — Czasami gramy w karty na placu przy Niepodległości. Oni jednak żyją cudzym życiem. Opowiadają o swoich dzieciach i wnukach, szczegółowo i bez tajemnic. Martwią się drobnostkami, które ich dotykają, i cieszą byle głupstwem. O sobie mówią mało. Stają w kolejkach po mięso i wysiadują z maluchami na placach zabaw, aby córki czy synowe mogły dorobić. Złatwiają im wczasy i pilnują mieszkań. Ja chcę wierzyć, że mam jeszcze coś własnego. Przeżywam troski rodziny, ale troski, a nie zadrapania. Chcę jeszcze pożyć na własny rachunek. Dlatego w moim mieście życie starych ma swój własny obieg. Są dla nich specjalne obszary przebywania, od rozryw-

ki i zabawy, po usługi i handel. Chociażby tutaj. Niech pan patrzy — to kino starych filmów. A to dzielnica emeryckich sklepów. Ceny tutaj są inne niż w handlowym centrum dla młodych. Ale towar jest tak samo dobry. Rzeczywistość jeszcze czerpie z dorobku naszego życia i nam należy się najwięcej, choć my nie tworzymy już produkcji. Ale... Czy pan wie, że w niektórych państwach emerytów wypycha się z własnego kraju?

— Pan przecież wcale tak źle nie wyglądał — zauważam. — Ma pan wszystko. To właśnie pan jest zaprzeczeniem tej umifikacji, o której pan mówił.

— Mój syn nie powtórzył moich błędów. Ma fach, który pozwala żyć.

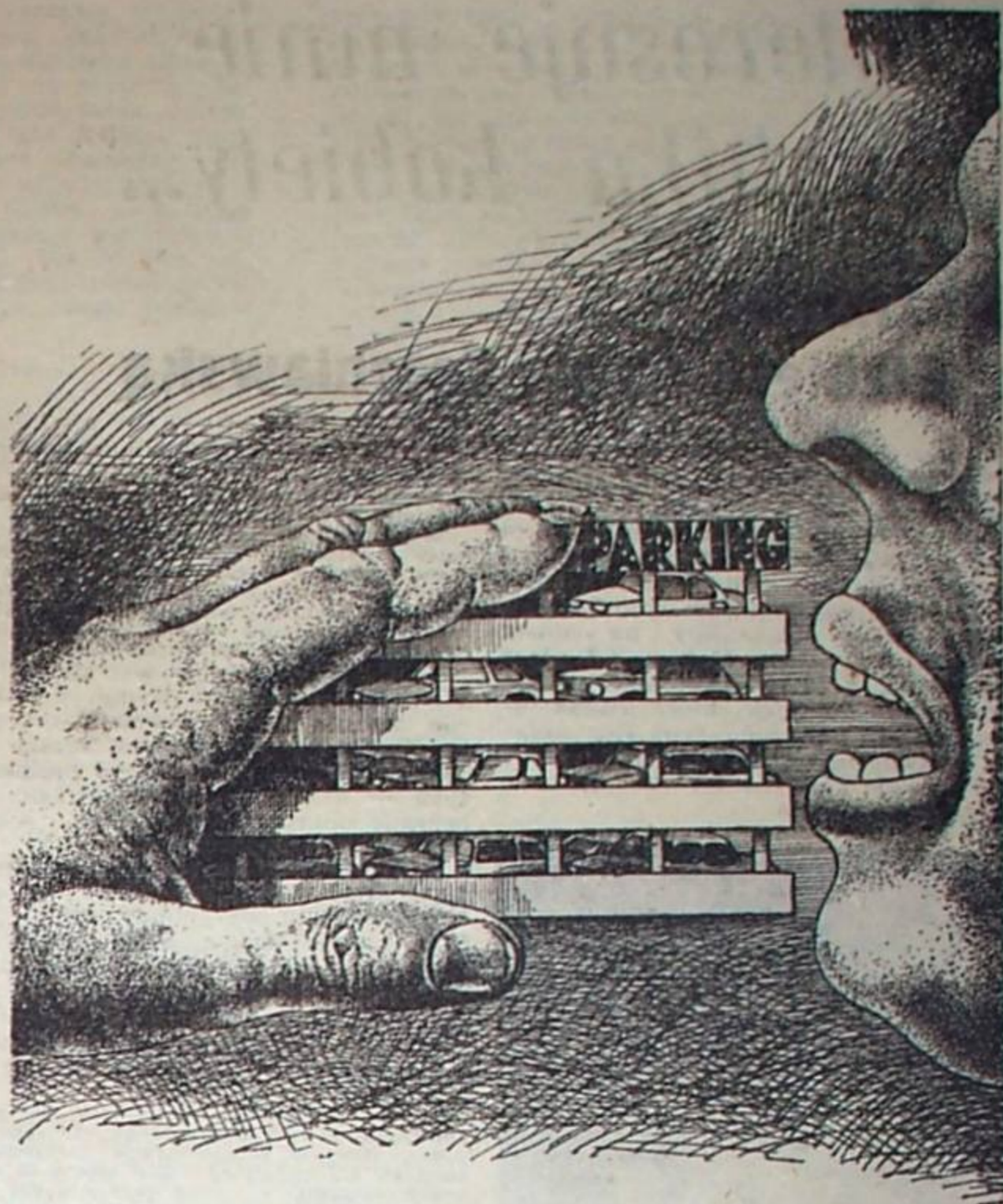
— Skąd więc u pana tyle goryczy?

— Może tacy jak ja widzą rzeczy lepiej. Jeśli ludzie mieszkają w domu bez prądu, trudno im tęsknić za telewizją. To sprawa pragnień i ambicji, i punktu odniesienia. To sprawa indywidualna. W moim mieście są dzielnice dobre i złe. Nie ma przemieszczenia, które obniża jakość. Kiedy w Lublinie odwiedzam przyjaciół w blokach, zdaje mi się, że na każdym piętrze stoi albo mieszka jeden żulik, by zachować ogólną równowagę. Czy administracja wyszukuje takiego z urzędu?

— Ma pan szczęście, że rządzi pan tylko papierowym miastem. Wszystko jest u pana takie proste. Ma pan nieprzebrane fundusze i nie obchodzi pana gospodarcza koniunktura. Nad pana miastem zawsze świeci słońce. Może je pan wyrysować tu u góry, w rogu. Na rządzeniu faktycznym miastem nie zna się pan wcale.

Pan Marian się nie oburza. Bierze ode mnie jeszcze jednego papierosa, choć lekarze zabraniają mu palić.

— To moje emeryckie marzenia — mówi po chwili. — Ale na tych kartkach chciałem umieścić to, co umknęło z naszego życia. Nie twierdzą, że jest źle. Po prostu inaczej. Nasze życie teraz inne; i nieważne, czy ono mnie się podoba. Jest takie, bez względu na mnie. Ale ja chciałbym, żeby było jeszcze inne, i może dlatego brzmi to tak wydumanie. Wiele rzeczy dałoby się naprawić, z pozytywkiem dla wszystkich. W moim papierowym mieście także żyje wielu ludzi i panuje wiek mas, ale człowiek znajduje jeszcze kątek, by odpocząć, i widać tę potrzebę wyraźnie w całym tym rozbrabaniu świata. Człowieka trzeba widzieć; każdego z osobna. Niech pan zobaczy, ile jest u mnie biur notarialnych. Prawie każdy dorosły wypisuje testament. Przekazuje dalej to, co sam zgromadził. Od tego



Rys. Antoni Chodorowski

podatki są najmniejsze z możliwych. Moje miasto jest bogate bogactwem mieszkańców. Tym bogatsze, im bogatsi są oni. W moich fabrykach można zarobić dużo. A dla nierobów są specjalne dzielnice — gorsze domy i gorsze ubrania, gorsze żelazka i gorsze buty. Z takich marzeń też może wypływać rzeczywistość.

— Chciałbym, żeby mi pan przedstawił prezydenta tego miasta — mówię.

A pan Marian się śmieje, związając starannie brystolowe karty. Już po chwili blat stołu jest pusty. Za oknem

zapada ciepły zmierzch, a my kończymy dopijać zimną już teraz, kawę. Ten wieczór jest liryczny, jakby dostroił się do stanu ducha mojego gospodarza. Na mnie już jednak pora. Pan Marian przeprasza, że nie może sprowadzić mnie na dół, do obszernego hałku, a potem do drzwi. Coraz trudniej wędrować mu po stopniach. Kiedy jestem już w połowie drogi, wychyla się jednak przez poręcz i krzyczy:

— Niech pan nie myśli, że jestem schizofrenikiem! — i śmieje się przekornie, drepcząc pospiesznie do swego pokoju na stryszku nowej willi.

cy. Mogłam zarobić na kuferek, ale uświadomiłam to sobie dopiero w chwili, kiedy druga, nie napoczęta jeszcze butelkę sprzedalam dwa razy drożej spragnionemu członkowi pewnej kapeli. Nie miał drobnych, więc zaprzyjaźnił się. Kapela zaprosiła mnie do siebie, a ponieważ na Rynku smutno było jakoś i deszcz polewał od czasu do czasu, uznałam, iż większą frajdą będzie spędzenie nocy z kapelą i opi-

sanie tejsze jako jedynej, niepowtarzalnej, upojnej. Zaczęło się niezle. Droga do PTTK jest długa, muzykanci różni, ja waliłam w bęben. Jakoś nam to razem szło. Ale skoro tylko supermani znaleźli się w pokoju, pozrucali niewygodne ubrania, postawili na stole zakąskę i coś do popicia i zanim zdążyłam dowiedzieć się, jaka jest tajemnica wyrobu kapeluszy, które nie zalamują się pod siedzeniem, bębni-

pluł mi do ucha, harmonista przeciągał na swoją stronę, a z naprzeciwka atakowała jakaś pani z Rzeszowskiego, która mówiła interesująco, acz cokolwiek za głośno. Na szczęście w odpowiedniej chwili przypomniałam sobie, że w sobotę o północy można jeszcze obejrzeć telewizję, więc z dwójką zleżo wybrałam ten rodzaj sztuki. Niwiele straciłam, bo z daleka i tak dobiegały dźwięki folkloru.

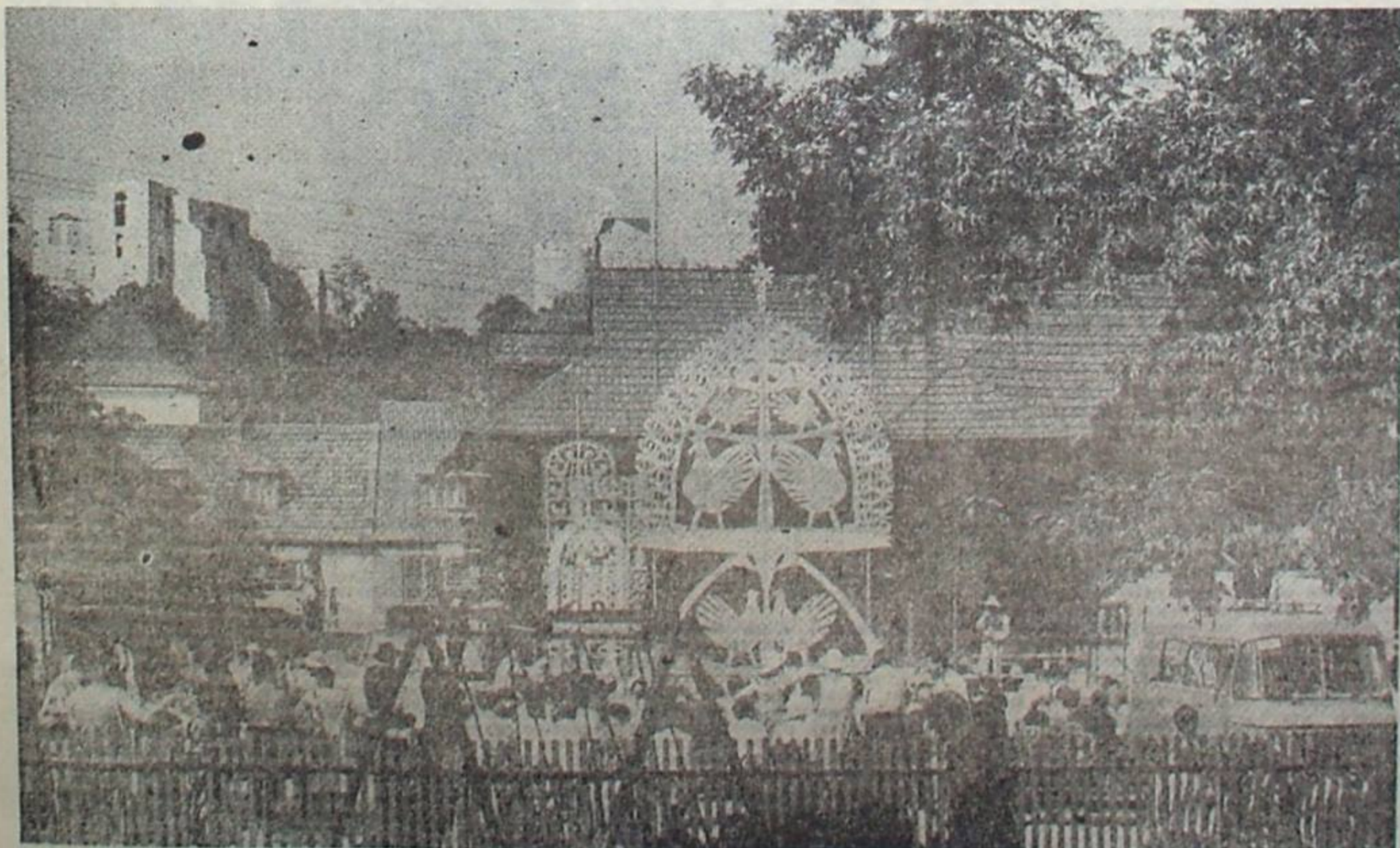
W niedzielę umówiona byłam z pewnym Grekiem. Nazwisko nie jest tajemnicą, bo pan Alkis Raftis, jako członek Prezydium Międzynarodowej Organizacji Sztuki Folkloru przy UNESCO, oficjalnie uczestniczył w międzynarodowym sympozjum. Zdziwiłam się nieco, kiedy zaproponował spacer nad Wisłę, gdzie nie docierały dźwięki instrumentów, tylko pluskały się ryby, a od czasu do czasu warknęła motorówka. Okazało się, że obydwójce czujemy przesył ludowością i najchętniej wróciłibyśmy do miasta. Trochę mnie to pocieszyło, bo już myślałam, że jestem typową ofiarą środków masowego przekazu i nie doceniam tego, co autentyczne, z serca płynące.

Greki przeciw skansenowi nie ma. Owszem lubi muzea, byle nie w nadmiarze i żeby nie były ogromne.

Poza tym świat się zmienia. Muzyka ludowa w Polsce także musi być sztuką populistyczną, jak np. country w Stanach Zjednoczonych. Wtedy będzie trafiać do młodzieży. Stroje, wyciągane z kufra na uroczystości, to też jest zły przykład. Muszą być funkcjonalne i ładne, tak żeby można w nich było chodzić na co dzień. Tak to się dzieje w Austrii, w Bawarii, gdzie dziewczęta chodzą do pracy w charakterystycznych fartuszkach. Tradycję należy zachowywać nie tylko od święta. Taka jest tendencja na całym świecie.

Czyż nie przyjemniej byłoby, zamiast do Kazimierza, wybrać się gdziekolwiek na wieś? Tam może śpiewać, bawić się, pić i jeść w naturalnej scenerii razem z tamtejszymi ludźmi.

W niedzielę, po rozdaniu nagród i koncercie „Lubelszczyzna żegna festiwalowych gości!” wracałam do Lublina okazją z powodu tłoku w autobusach. Kiedy usłyszałam z taśmy: „Jedźmy, jedźmy, dróżeczki nie wiemy, ale ludzie wiedzą, to nom ta powiedzą”, kazałam wysadzić się na krzyżówce, gotowa iść do Lublina na plechotę, byle w ciszy.



Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu.

Fot. Jan Magierski

„Interesuje mnie psychika kobiety...”

Rozmowa

z Elżbietą Cichłą-Czarniawską

— Jest pani pisarką związaną z Lublinem zupełnie od niedawna, od trzech lat. Czy może pani wyliczyć powody, dla których znalazła się pani w Lublinie?

— Lublin nie jest dla mnie miastem tak zupełnie nowym. Raczej mogę powiedzieć, że wróciłam do Lublina, jest to bowiem miasto moich studiów uniwersyteckich. Chcieliśmy po prostu zmienić środowisko. Mąż podjął pracę na UMCS, a ja chciałam mieć swoje środowisko literackie, które jednak pisarzowi jest potrzebne. Poza tym zmiany w życiu ożywiają warsztat pisarski, zbyt długie zasiedzenie w jednym miejscu wyjąłwia.



— Jak pani czuje się wobec tego w Lublinie i w kręgu twórców lubelskich?

— W lubelskim środowisku literackim czuję się, oczywiście, dobrze. Dawniej należałam do krakowskiego oddziału ZLP, skazana byłam na dojazd. Była to więc przynależność bardziej formalna, nie sprzyjała rozwijaniu stosunków towarzyskich, nawiązywaniu przyjaźni. Dla pisarza zdecydowanie korzystniejsze jest przebywanie na stałe w większych ośrodkach twórczych.

— Przybyła pani do Lublina w dosyć szczególnym, by nie powiedzieć, wyjątkowo trudnym okresie dla pisarzy, w okresie kształtowania się nowego ZLP. Był to czas spój, rozdźwięków wśród pisarzy i również czas zmuszający do decyzji, do opowiedzenia się za albo przeciw wobec nowego związku. Pani znalazła się wówczas w nowym środowisku. Jak wyglądała wtedy pani sytuacja pisarza?

— Czuję się pisarzem z najgłębszego wyboru i ważne jest dla mnie przede wszystkim pisanie. Natomiast sprawy związkowe... Każdy człowiek, który pracuje, musi mieć przecież jakieś oparcie instytucjonalne. Uważam, że być zupełnie poza związkiem nie jest może najlepszym rozwiązaniem. ZLP jest dla pisarza i tradycją i płaszczyzną towarzyską, i również oparciem formalnym. O sprawach ideologicznych trudno mówić... uważam, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Noszę w sobie pragnienie, żeby istniało poszanowanie różnych poglądów, zrozumienie i tolerancja, ale żebyśmy przy tych różnicach byli jakąś jednością. Żyjemy w Polsce i tutaj przede wszystkim powinniśmy szukać swojego miejsca, wzajemnych kontaktów, co nie przesądza o tym, że każdy ma prawo wyboru. Sytuacja wymaga, aby patrzeć realnie. Zaś dla pisarza, podkreślam, najważniejsze jest to, aby mógł pisać bez żadnych obciążeń.

— Właśnie jak wobec tego w roku 1933 przyjęła panią w Lublinie to jednak poróżnione środowisko?

— Muszę przyznać, że bardzo życzliwie, sympatycznie. I to zarówno znajomi z dawnych lat, jak ludzie świeżo poznani. Zaproponowano mi wstąpienie do związku. Wydawnictwo Lubelskie odniosło się do mnie również życzliwie. Wydało tomik moich wierszy, podpisałam umowę na wydanie książki o

Jalu Kurku i książkę o tematyce młodzieżowej.

— Jest pani pisarką — jeśli tak można się wyrazić — wielobranżową. Uprawia pani poezję, wydała pani cztery powieści i również książkę monograficzną o twórczości Jalu Kurka, a więc rzecz z dziedziny, czy przynajmniej pogranicza, krytyki literackiej, jest pani doktorem nauk humanistycznych... Co w pani twórczości jest najważniejsze, co pani ceni najbardziej?

— Czuję się przede wszystkim poetką. Zaczynałam od poezji i gdyby nie ona nie byłoby pewnie mojej prozy. Sama poezja nie wystarczała mi jednak, choć — jeśli idzie o problematykę — można w lirycie wyrazić olbrzymie obszary życia.

— A pani poczynania naukowe...?

— Interesowałam się zawsze awangardą krakowską, szczególnie zaś Jalu Kurkiem. Zauroczył mnie swoją poetyką, bardzo bogatą, daleką właściwie od praktyk awangardowych. Ten awangardysta z wyboru był w gruncie rzeczy niezależny, był przede wszystkim poetą emocjonalnym. Zafascynowała mnie ta sprzeczność między teorią i praktyką.

— Mówi pani, że Jalu Kurek to poeta emocjonalny. Mam wrażenie, że jest to poeta, który w jakimś sensie patronuje — choć to nie najlepsze może słowo — pani poezji. Bowiem w pani poezji świat jest wyrażany jednak bardziej emocjonalnie niż intelektualnie, nacechowany uczuciem.

— Staram się patrzeć na świat po prostu okiem zwykłego człowieka, nie intelektualisty. Ale moim patronem Kurek nie jest, zresztą nim „rozgrzyłem” jego twórczość, miałam już we własnym dorobku kilka tomików. Interesują mnie problemy bliższe każdemu człowiekowi, fascynuje mnie np. problem śmierci i od strony filozoficznej i literackiej. Zastanawiam się nad miejscem człowieka w świecie, to są banały, niby każdego to interesuje, ale myślę, że każdego jakoś inaczej.

— W pani wierszach i w prozie również, choćby w ostatniej pani powieści „Wiosna, Emilio!”, nie czuje się obecności aktualnych problemów społecznych, a przynajmniej nie bywają one wyrażone wprost. Nie ma również drobnej opisywalności życia i bycia. Interesują panią raczej problemy uniwersalne.

— Tak, może właśnie nie tyle historia, co historiozofia. Dzieje od strony zmieniających się filozofii, zmieniającej się też mentalności ludzkiej. Wydarzenia występują w mojej twórczości bardziej jako motywy „oświecające” niż jako tło konkretne. Zawsze bardziej interesowała mnie psychika człowieka niż człowiek na tle codzienności. Postaci moich powieści wciąż życie zaczynają jakby od nowa, oglądają siebie w perspektywie moralnej. Bardziej więc patrzę w głąb niż rozglądam się po powierzchni. Tak, zdecydowanie silniej fascynuje mnie wnętrze postaci niż akcja.

— To znaczy akcje również buduje pani doskonale, tyle, że jest to właśnie jakby akcja wewnętrzna, dziejąca się w pokładach myśli, uczuć bohaterów. Bohaterami pani prozy, częściej niż poezji, bywają kobiety. Ponadto czuje się u pani także swoiste kłótsze przedstawiania świata, rzeczywistości opowiedanej jakby uczuciem. Czy pani czuje się może pisarką z nurtu „literatury kobiecej”?

— Nie uznaję podziałów literatury na kobiecą i męską. Natomiast element kobiecy musi być obecny. Interesuje mnie psychika kobieca i te postaci lepiej mi się udają. A czy widzenie świata kobiece? Tu miejsce na odpowiedź czytelnika. Nie silę się też, aby robić z siebie pisarza. Choć używam często form męskich w poezji...

— ...no właśnie, choćby w ostatnim pani zbiorze poezji „Ucieczka lądów”.

— Tak, tylko te formy męskie w moich wierszach — co nie zawsze bywa właściwie rozumiane — nie znaczą: mężczyzna, znaczą po prostu: człowiek. Problemy płci bywają wspólne.

— Została pani w tym roku laureatką nagrody im. Bolesława Prusa, obok nagrody im. Czechowicza, najważniejszej jaka bywa przyznawana w lubelskim środowisku za twórczość literacką. Czy jest to pani pierwsza nagroda i jakie ma dla pani znaczenie?

— Otrzymywałam nagrody w konkursach, ale ta jest pierwszą, jaką uzyskałam za powieść już wydaną. Duża to dla mnie radość i zaszczyt. Zaczynam naprawdę czuć się lublinianką. A wrosnąć w życiowe środowisko to wiele znaczy!

Rozmawiała:
Lidia Wójcik

Swojski showman

ROZRYWKA jest dziedziną, w której nie ma opinii niezmiennych, ustalonych raz na zawsze. Nie tak dawno jeszcze koledzy po piórze zachwycali się niezwykłymi zdolnościami estradowymi showmana własnego chowu — Andrzeja Rosiewicza. Święcił on triumfy w kapitalnych programach przygotowywanych z Asocjacją Hagaw i siostrami Osipiakównymi. Później próbował powtórzyć sławne wyczyny z big bandem Pieregórki. Szło mu zupełnie nieźle. Mimo upływu lat od momentu, kiedy czuł się w najlepszej formie, nie zmniejszył aktywności. Nadal śpiewa, nagrywa, rozsyła calusy, stepuje, rozśmiesza i bawi. Duża swoboda wykonawcza, obycie, niespożyta energia i bogactwo pomysłów pozwalają mu zdobyć rzęście oklaski w Warszawie i Wąchocku. Jest to możliwe tym bardziej, że wrodzone poczucie humoru pozwala mu niesłychanie szybko nawiązać kontakt z wielotysięczną widownią. Rosiewicz to — w przekonaniu tłumów — tytan polskiej estrady.

Wyliczone tu jednym tchem zalety wokalisty, tancerza, parodysty, autora tekstów i rzutkiego impresaria w jednej osobie są niewątpliwie widoczne, niemniej trudno się nimi naprawdę zachwycić. Albowiem pan Andrzej odwała na co dzień prozaiczną chałturę. W ciągu rocznych koncertów w kraju i w zagranicznych lokalach gastronomicznych zdążył opanować do perfekcji wszystkie grepsy i gesty „pod publiczkę” i rozmięknąć na drobne dane mu przez naturę wdzięk, talent, bezpretensjonalność. Za maską prześmiewcy ukryty jest estradowy mały wyrobnik, stały, gotowy sprzedawca dziennie trzy, a nawet cztery imprezy jednakowe w tempie, nastroju, klimacie. Każda mina, każdy gest czy olśniewające słuchaczy zabawne powiedzonko zostały już wyeksplloatowane do granic możliwości. Jakże więc za tysiąc dwusetnym razem brzmieć może zabawnie i przekonująco?

Zjawisko pod tytułem Andrzej Rosiewicz skłania do głębszych refleksji. Nie jest tajemnicą, że na amerykańskim, wysoce zorganizowanym, rynku estradowym bądź też filmowym sukces gwiazdora okupiony bywa pracą całego sztabu ludzi. Wnioskować można z tego, że zadaniem piosenkarza jest możliwie najciekawszej i najbardziej poprawnie śpiewać, zaś całą resztę — czyli teksty, kompozycje, aranżacje, kostiumy, choreografię, scenografię, nagłośnienie i mikrofony — przygotowują dla niego wysoce wyspecjalizowani fachowcy. Program taki ma szansę stać się błyskawicznie szlagierem granym setki razy, bo prezentuje wysoki, profesjonalny kunszt artystyczny. Pan Andrzej jako indywidualność na miarę Eltona Johna zrywa z podziałem wyznaczonych ról. Wierząc głęboko w swój talent, wyborny smak i wycucie rynku, brnie na oślep jak taran. Sam wie najlepiej, w co ma się ubrać, jak zatańczyć w roli pszczołki, czy rozbawić publiczność do łez, jak zagrać, aby koktajl był mieszanką piorunującą.

Niechym przysłowiowa Zosia-samosia opracowuje każdy numer samodzielnie, eksploatuje stare, mocno wytarte już pomysły i dowcipy, strojąc je w bogate piórka. Zapomina przy tym, bo ma prawo wszystkiego nie pamiętać, że program taki czuć na kilometr tanim efekciarstwem. Z recitalu, który w założeniu ma prezentować walory głosowe artysty, powstaje istic cyrkowe widowisko z piaszącymi wałkami, nietoperzami, girlsami przyodzianymi w strusie pióra. Szalone tempo programu pozwala wykorzystywać tylko najbardziej efektowne numery, co nie znaczy wcale — najciekawsze i wartościowe. Roztańczone widowisko staje się w pewnym momencie koszmarem nie do zniesienia. Za dużo jest w nim kitu, wciśkanego spragnionemu rozrywki widzowi.

Foldery reklamujące show Andrzeja Rosiewicza zapewnijają, iż trudno znaleźć człowieka, który choć raz nie uśmiechnie się w towarzystwie czarującego showmana. Twierdzenie może i słuszne, pod warunkiem wszakże, że ogląda się wyłącznie jedną scenkę z bogatego arsenału popisowych sztuczek Rosiewicza. Następne gotowe są przyprowadzić widza o niestrawność.

Istvan Grabowski



Fot. Jacek Awakumowski

Poczta literacka

Andrzej J. S. Mieczów. Jest pan uparty, ale nie umiem powiedzieć, czy to przynosi efekty, bawiem przed dziesięć laty, kiedy Pan przysłał do nas poprzednie próbki, działu tego nie prowadziłem. Otrzymał Pan wówczas odpowiedź negatywną. Zapewne jednak rozwinął Pan swoje pisanie, gdyż ja teraz, w 1936 roku, nie mógłbym Panu z całą pewnością powiedzieć, że nadesłane wiersze są całkiem złe. Sama końcówka myśli w „Pogoni za Tezeuszem”: „Artadno, czemu mi dalaś zępiata nję?” to pytanie godne uwagi w kontekście całego utworu, który jest jednak mniej udany. Niech się Pan zastanowi, czy nie nadużywa Pan przynajmniej w nadesłanym restawie wierszy — wątków i pojęć z mitologii?

Joanna W. Zamość. Moje sądy od listopada się nie zmieniły. Nie miałem podstawy po przeczytaniu kolejnej, niedużej zresztą, porcji wierszy. Nie myślę o Pani pisanii ani lepiej, ani gorzej, ale też nie myślę tak źle, jak się Pani obawia. Zaczekajmy jeszcze.

Zbigniew H. Bytom. Być może w Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury koleżanki i koledzy spojrzeli na Pana wiersze inaczej. W naszym piśmie trudno by było uwzględnić Pańską propozycję Utwory z mieszaniną prądów literackich, jakie za nami, najczęściej młodopolskiego.

Roman O. Stary Sącz. Oczywiście, może Pan nadesłać większą liczbę utworów, ale sadząc po tym jednym, zataczonym do listu, nie warto.

UWAGA, odwiedzający w piątki redakcję w celach konsultacyjnych! Najpewniej soothacie redaktora działu literackiego poczawszy od najbliższego W sierpniu i września przeszkodą w ustąpieniu wyjadzie.

TJ

Ekran i widz

Jazzmani i gangsterzy

W FILMIE „Cotton Club” znakomity amerykański reżyser Francis Ford Coppola, jeden z nie tak dawnych „wyrastków, którzy przejęli władzę w Hollywood”, powraca jakby raz jeszcze do tematyki „Ojca chrzestnego” i „Ojca chrzestnego II”, filmów o amerykańskiej mafii, które na początku lat siedemdziesiątych przyniosły mu sławę i fortunę. Tym razem jednak gangsterizm i mafijne środowisko nowojorskie są tylko mocno zarysowanym tłem dla filmu w gruncie rzeczy muzycznego, starającego się odtworzyć specyfikę i nastrój jednego z najciekawszych przybytków amerykańskiego jazzu lat dwudziestych, znajdującego się w „czarnym” Harlemie — „Cotton Clubu”. I dlatego — mimo interesującego wątku fabularnego — właściwym bohaterem filmu Coppola jest sam „Bawelniany Klub” i jego artystyczny program.

Jak Paryż z „Moulin Rouge” czy „Folies Bergeres” przyciągał bogatą publiczność swymi wspaniałymi programami estradowymi, tak Nowy Jork miał w latach dwudziestych swój słynny harlemski „Cotton Club”, kabaret-rewię, w którym występowały najznakomitsi muzycy jazzowi i gdzie śpiewali, tańczyli i stepowali najwybitniejsi czarnoskórzy artyści. Przeznaczony dla mającej „białej” publiczności („czarni”, przynajmniej w początkowym okresie istnienia tego lokalu, nie mieli prawa wstępu na widowisko), „Cotton Club” stanowił

atrakcyjny cel podniecającej wyprawy towarzyskiej w głąb owej niebezpiecznej, „czarnej dzielnicy”, za jaką uważano murzyńską dzielnicę Harlem. Przy dźwiękach jazzu przewijał się przez tę salę nowojorski świat artystyczny i półświatka, przedstawiciele świata biznesu i świata zbrodni, słynne kokoty obok wybitnych gwiazd filmowych, mafijna „śmietanka” obok ludzi z najwyższych sfer. Dostać się na estradę „Cotton Clubu” — to było dla czarnoskórego artysty najwyższe wyróżnienie, jego „złote ostrogi” artystyczne. Dla białych dostanie się na tę scenę było niemal nieosiągalne. „Cotton Club” jeszcze za czasów swego istnienia był już legendą.

Film Coppola to nieustanna rewia jazzowa na ekranie. Rewia, reżyserowana — jako widowisko — w sposób znakomity i w znakomity sposób fotografowana. Fenomenalna muzyka. Lecz „Cotton Club”, jak się już rzekło, posiada równocześnie swój niebiały wątek fabularny, notabene idealnie zsynchronizowany czy też „wpasowany” bez najmniejszego zgrzytu w warstwę estradowo-widowiskową. Właściwie — dwa wątki. Dwie równoległe biegnące opowieści. Pierwsza — to historia dwóch braci „białych”: genialnego kornecisty Dixie Dwyera i jego brata Vincenta. Obydwaj stają się pionkami w rękach gangsterów i ich rozgrywki. Ale Dixie, autentyczny artysta, usiłuje w tym wszystkim zachować godność i choćby ograniczoną niezależność, podczas gdy Vincent stacza się, niepostrzeżenie dla siebie samego, na dno bandytyzmu. Z tą opowieścią przeplata się historia dwóch braci „czarnych”, genialnych stepistów, występujących wspólnie na estradzie „Cotton Clubu”. W obu historiach mamy także „biały” i „czarny” wątek miłosny, obydwa rzutużące w wyraźny sposób na konieczność moralnego i uczuciowego określenia się partnerów, dotąd myślących tylko o karierze lub zapewnieniu sobie spokojnej egzystencji w tym świecie show biznesu przesiąkniętego gangsteryzmem. A wszystko to na tle walk i rozgrywek rywalizujących ze sobą różnych nowojorskich gangów.

Także w „ideowo-tematycznym” założeniu „Cotton Clubu” zaznaczają się wyraźnie dwie sprawy: jazzu coraz wyraźniej odchodzącego od swych kla-

sycznych, tradycyjnych form oraz przekształcania się starych, tradycyjnych, mafijnych związków i układów w prężny, nowoczesny organizm, z dochodzącym do władzy słynnym capo mafioso — Lucky Luciano. Coppola wyraźnie zresztą określa czas działania się filmu na lata 1928—1932; burzliwy okres walki o prohibicję, wielkiego ekonomicznego kryzysu, upadku imperium kina niemego i narodził się film dźwiękowy; tych lat zamętu, upadku „starej” Ameryki i przedednia „New Dealu” prezydenta Roosevelta. Także czas budzenia się świadomości i poczucia godności amerykańskich Murzynów, nie chcących już być obywatelami drugiej kategorii.

Umiejscawiając swój film w epoce przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, twórca „Cotton Clubu” sięga także niejednemu raz po środki wyrazu charakterystyczne dla amerykańskiego kina lat trzydziestych. Po te wszystkie charakterystyczne „rolecki”, „przenikania”, nakładania obrazu na obraz itp., aż po klasyczny finał — długi pocałunek pary amantów w drzwiach ostatniego wagonu pociągu odjeżdżającego w szczęśliwą przyszłość.

Lecz owa założona świadomie przez Coppolę maniera nie irytuje (jak u Spielberga, gdzie lawina jego nieustannych filmowych pastiszów staje się już coraz bardziej niestrawna), przeciwnie — dodaje tylko smaku filmowi. Tej nakręconej z naprawdę szerokim oddechem i — przy całym swym dramatyzmie — opowiedzianej z dużym humorem opowieści.

Pewnie, „Cotton Club” nie jest najwybitniejszym dziełem Francis Forda Coppola. Nie dorównuje siłą wyrazu „Ojcom chrzestnym” czy „Czasowi Apokalipsy”. Nie ma w nim takich osobowości aktorskich jak Marlon Brando czy Robert De Niro (choć wybija się tu aktorstwo Richarda Gere w roli Dixie Dwyera, a oszałamia sztuką i talentem liczni czarni aktorzy). Ale... jest to swoiste arcydzieło filmowego warsztatu twórcy; doskonała robota — słowem film, który powinien obejrzeć każdy wielbiciel muzyki jazzowej i każdy wielbiciel dobrego kina.

M.D.

Archiwum mistrzów anegdoty

Swego czasu pewien młody lekarz rzekł do Bernarda Shawa:

— Rzuciłem medycynę, aby zostać pisarzem, sądzę, że w ten sposób będę mógł więcej uczynić dla ludzkości.

— Nie musi pan zostawać pisarzem! — odparł Shaw. — Wystarczająco już zasłużył się pan ludzkości, rzucając medycynę.

Pianista angielski, Harold Lister, przerwał swoje tournée koncertowe po

Izraelu. Po powrocie do Londynu zwierzył się dyrygentowi Beechamowi, że musiał przerwać występy, gdyż w czasie działań wojennych został dwukrotnie ostrzelany przez Arabów.

— Co ty mówisz? — zdziwił się Beecham. — Nigdy bym nie przypuszczał, że Arabowie tak dobrze znają się na muzyce.

Znana śpiewaczka francuska, Jacqueline Francois, przeżyła moment nie-

zwykłej emocji podczas jednego z występów w kabarecie nowojorskim. Oto gdy zaczęła śpiewać „Samba fantastique” dziewięciu umundurowanych mężczyzn powstało z hałasem z miejsc i stanęło na baczność.

Jak się okazało, samba była brazylijskim hymnem narodowym, a dziewięciu panów — to ambasador Brazylii i jego świta.

Na przyjęcie w Pałacu Elizejskim przybyła kiedyś Brigitte Bardot odziana w strój będący czymś pośrednim między piżamą a mundurem husarskim.

Na jej widok prezydent de Gaulle oświadczył z kurtuazją.

— Jak dobrze, że pani przybyła! Tytuł tutaj cywilów, a tylko pani w mundurze.

Świetny bajkopisarz Kryłow na wieść, że jego znajomy Iwan Nikita Jakowlew ma sześć milionów rubli rocznego dochodu, oświadczył:

— To stanowczo za dużo! To tak samo, jakbym miał dla siebie koldre na trzydzieści łokci.

Wyszperał: Ryszard Dunin

MISS POLONIA 1929

Dokończenie ze str. 12

— O, nie, nie przyjąłabym żadnego engagement! Wróć do Warszawy!

— Nawet gdyby miało się sprawdzić to drugie — naciska pani Migowa — nieprawdopodobieństwo wyboru na Miss Europy?

— Nawet wtedy — panna Kostakówna niezłomnie pozostaje przy swej decyzji. — Do filmu nie mam pociągu — stwierdza samokrytycznie — a co do głosu, to na razie myślę tylko o swoich lekcjach z profesorem Dziadulewiczem, który uczy mnie bezinteresownie...

Potem odbyło się jej wielkie „entre” w warszawski świat. Pierwsi podejmowali miss aktorki Teatru Polskiego: Maria Przybylko-Potocka, Jadwiga Smosarska, Maria Malicka, Jerzy Leszczyński, Kazimierz Junosza-Stepowski oraz dyrektor Arnold Szyfman. Miss w regulaminowym towarzystwie pani Heleny Huzarskiej (żony szefa Miejskiej Kasy Oszczędności), w kreacji Domu Mody Hersego i Spółki ołsniała całe towarzystwo. A może nawet i więcej. Pracow-

nicy techniczni teatru, częstowani przez „Limbę” czekoladkami, chowali je na pamiątkę, bo to od samej Miss Polonii! Dyrektor Szyfman wspaniałym gestem wręczył miss 500 złotych na dowolnie wybrany cel... społeczny. Już następnego dnia rankiem panna Władysława cel ten osiągnęła. Przeczytała bowiem w „Expressie” o tragicznej wręcz sytuacji młodej jeszcze, lecz poważnie chorej matki trojga dzieci, pozostającej bez środków do życia. Niebieskie auto, oddane do dyspozycji Miss Polonii, pomknęło więc na ulicę Plekarską. Chora i jej dzieci obdarowane zostały przez „Limbę” wiktuałami i kwotą 200 złotych. Warszawianie nie pozostali obojętni na ten odruch gorącego serca. Wkrótce zebrano 4 tysiące złotych na pomoc dla chorej.

W podobny sposób wykorzystane były następne nagrody pieniężne, wręczone Miss Polonii na balach i rautach, w teatrze „Morskie Oko”, „Qui Pro Quo”, w Ministerstwie Rolnictwa i u Bankowców.

„Limba” była w swoim żywiole!

I nie mówilo się wtedy o osobistej nagrodzie i pożytkach płynących z faktu wybrania panny Władysławy na miss. Prócz niebieskiego auta „Essex”, oddanego przez firmę „Motor Traders” do jej dyspozycji oraz szofera (także do zwrotu!) — 30-letniego pana Mariana Wyszczkowski (z 12-letnim stażem, władającego kilkoma obcymi językami, odznaczonego krzyżem za ratowanie rannych) — o innych apanażach Miss Polonii nie slyszano się. Nawet docieklawa prasa milczała na ten temat, jak zakłeta. Zresztą prywatnie miss jeździła do swojej mamy na Pragę tramwajem i cieszyła się z urlopu udzielonego jej przez prezydenta Warszawy, inż. Słomińskiego. U Hersego szyły się już toalety na podbój Paryża, do Warszawy ścigały delegacje z prowincjonalnych miast, by złożyć hołd pierwszej Miss Polonii.

A w Lublinie, w Teatrze Miejskim, 2 lutego wydawano bal karnawałowy na cześć najpiękniejszej, ale lublinianki i jej pazika — najbrzydszego lublinianina. Artystyczne kostiumy maskaradowe na tę okazję wypożyczała „Renata” z Krakowskiego Przedmieścia 48,

tuż nad kinem „Wir”. Kto pamięta jeszcze to kino?

Miss Polonia w tym czasie składała wizytę w Komendzie Garnizonu Warszawskiego. Na ręce generała Rożena przekazała 50 książek, wybranych osobście w firmie wydawniczej „Gebethner i Wolff” dla żołnierskiej biblioteczki. Dominowała rodzima klasyka.

Jeszcze ostatnie spotkanie, wywiady i rady: „Niech pani utnie przed paryskim jury porządnego zęza, to pani nam nie zabiorą, nie wyślą do Ameryki!” (Miss Europy, wybrana i koronowana w Paryżu, czekało bowiem oceaniczne tournée i udział w konkursie na Miss Swiata). Na warszawskim dworcu „tysiące serc, pełnych — jak pisała prasa — entuzjazmu, zęgnęły Miss odjeżdżającą do Paryża”. Pod opiekuńczymi skrzydłami dyrektorowej Huzarskiej „Limba” zapewniała: „Nie dla siebie pragnę zdobyć ten tytuł, lecz dla chwały Polek”.

Hotel Palais d'Orsey szykował się na przyjęcie piękności z dwudziestu krajów, w tym po raz pierwszy z Polski. Konkurs jednak na Miss Europy postawił przed uczestniczkami taki oto wymóg: „Najpiękniejsze dziewczę kraju, królowa urody nie tylko zachwycać winna pięknoscia twarzy i nieskazitelną rzeźbą kształtów, ale promieniować w niej musi rasa i kultura narodu, którego jest córą”.

(dokończenie nastąpi)

Marta Denys

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopelowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótnów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Untcka 4. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 153-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1. Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-93, sekretarz redakcji 318-93, dział publicystyki i literacki 373-36. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 331, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Krzyżówka nr 15 z szyfrem

Poziomo: A. firma edytorska • chroniony ptaszek z czubkiem, C. wystandaryzowana próba • Wielka i Mała na niebie • rodzaj sieci rybackich, E. klepka podłogowa • etap produkcji cukru • był ministrem kultury, G. honorowy urząd ziemski w dawnej Polsce • piękności szkodzi • spolszczone imię żony Mieszka I, I. ansa • danie • uwaga, bo można źle stąpnąć, K. czworokąt równoboczny • nieodzowna przy unowocześnianiu produkcji • np. kita, M. dążenie do zapewnienia duchownym decydującego wpływu na wszystkie dziedziny życia • przekład.

Pionowo: 1. wypuszczenie metalu z pieca hutniczego • pracuje pod wodą, 3. smaczne grzyby, 4. rzecz stara • drewniane naczynie z dwoma uchami, 6. nie nie potrafi, 8. szuka go radiesteta • spadające ciśnienie • uszlachetnione żelazo, 10. pomaga urzędnikom pracą fizyczną • cieśnina łącząca zatoki Perską i Omańską, 11. słynny malarz scen myśliwskich, 12. sznury z sułtami Inków • tekst przysięgi, 13. słynny batalion Kedywu powstały z Szarych Szeregów, 14. ma łożę z gwoździ i noży • mila morka na godzinę, 16. rzuciła jabłko niezgody między boginie • uroczysty wiersz • gmina pod Krakowem na trasie zakopiańskiej, 18. w cyrku i na samolocie, 20. trzy łokcie • tam festiwal piosenki, 21. sąsiad z Bałtyku, 23. dowód niewinności • zwierzęta hodowlane.

Szyfr: K23, G8, C8 / G21, I2, E6, C9, K14, L16, G23, G11 / K17, M20, E21, A21, I18, C15, I3 / G13, C11, C23, A4, I11 / I21, K20 / M18, F21, A16, K21, G6 / M19, C14, I20, B23, A6, M5 / J14, C13, A20, M13 / E1, G2, M2, E15, A22 / E22, E5, M23, E9, A2 / K10, M15 / I17, E23, J14 / L10, G3, K11 / I9, A11, J6, K2, G16, M10, L23, G14 / I14 / J8, J4, G19, A17, E12 / A5, B10, M14, A23, C6, D6, C21 / G4, G10, K15, G18, L20, M9 / C17, I5, A10, M17, H6, K13 / J16, M7, G1, M22, M3, C20, C18 / A15 / H8, F16, I1, B1 //

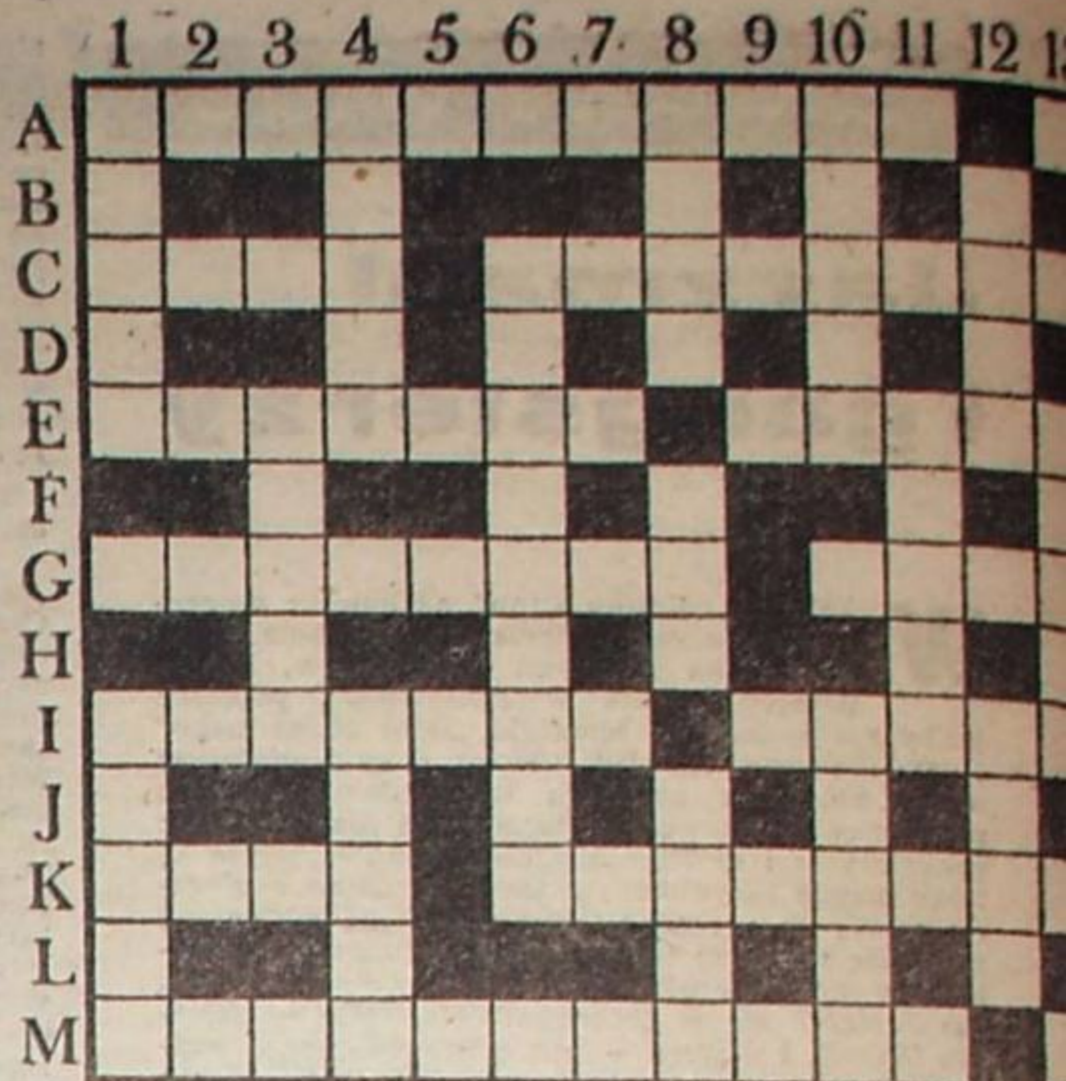
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 13 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Umarł Franco. Wszystko, co robił, strasznie przewlekał. Cztery lata dorzynał republikę hiszpańską. Zyl, na mój gust, o czterdzieści lat za długo, a nawet konał tak długo, że teraz ten zgon dla nikogo nie jest sensacją.

JERZY PUTRAMENT „Pół wieku — Czerwiec”

Nagrodę wylosował Tadeusz Buchold, Osiedle Zgoda 27 m. 7, 21-309 Radzyń Podlaski.



MISS POŁONIA 1929

„Nikt dotąd nie popełnił dla mnie samobójstwa...”

W STYCZNIU 1929 roku prasę obiegła wiadomość z Paryża: „Ville Lumiere, miasto światła, zaprasza córki wszystkich krajów europejskich na wielki turniej urody kobiecej!” Po raz pierwszy w szrankach turnieju stanąć miała Polka. Paryż z zainteresowaniem oczekiwał jej przybycia.

Tymczasem w kraju biuro „Miss Polonia” rozbilo swą kwatery w warszawskich redakcjach „Kurier Czerwony” i „Expressu Porannego” przy ulicy Jasnej 10, ogłaszając warunki konkursu i pilny, nieomalże ekspresowy termin nadsyłania zdjęć. Bowiem 28 stycznia nastąpić już miała prezentacja dziesięciu kandydatek do tytułu najpiękniejszej Polki, następnego zaś dnia — wybór Miss Poloni, a 6 lutego — jej start w paryskim turnieju o koronę Miss Europy!

W ruch poszły więc domowe albumy. Jakże wybrać zdjęcie? To z balu czy to z Truskawca? A może tę fotografię, która tak podobała się panu rotmistrzowi?

Atelier i studia fotograficzne piorunem wykonywały zdjęcia kandydatek na Miss Polonię.

— Panno Zosieńko, główkę proszę w lewo, włoski puścimy falą na ramionko i więcej, więcej uśmiechu! Pani słodkie doleczki muszą podbić Paryż!

Dekolcik, biuścik, nóżka? O, nie! Zadne trykoty i kostiumy kąpielowe, nawet najnowszej mody z Biarritz i Juraty! Argusowe oko jury natychmiast wylatywało ze stosu nieregularnych zdjęć.

— Panienska jest niepełnoletnia? Dobrze, ale zgodę na udział w konkursie wyrazić muszą rodzice lub opiekunowie.

— A kto będzie towarzyszył paniencie w czasie konkursu? Narzeczony-rotmistrz? Nie, tego nie dozwala regulamin. Tylko mamusia szanownej panienci lub stateczna osoba mogą wystąpić w tej roli!

Puchła więc redakcyjna teczka od zdjęć. Jak się potem okazało, nadeszło je 40 amatorów europejskiej przygody — urzędniczek, hrabianek, pańien z bardzo dobrych domów; z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania, Bydgoszczy, Lublina, Radomia i Pruszan na Polesiu. W wywiadach dla prasy panny-kandydatki nie kryły swoich marzeń o karierze filmowej, do której drogę otwierał udział w konkursie piękności mogący sypnąć niezłym ofertami matrymonialnymi! Nawet pan-

na Hanna Daszyńska, córka marszałka Sejmu — krakowianka studiująca w Akademii Handlowej nauki społeczne, ekonomię i języki obce, w tym wschodnie — myślała po cichu połączyć film z dyplomacją, do której z woli rodziców pilnie przygotowywała się. Panna Hanka występowała już wcześniej w podobnym turnieju, zachwycając jury swoją — jak to wówczas określano — wiośnią twarzą, obrotową wicherą bladoczystych włosów i ogromnymi, rozmarzonymi oczami... Zależnie, cenne to były walory przyszłej pani ambasador.

„Śliczna! — Pani jest śliczna!”



Repr. Robert Lipski

Każdego styczniowego poranka lublińscy za jedne 20 groszy mieli najświeższe, warszawskie wiadomości i zdjęcia kolejnych kandydatek na Miss Polonię. Redaktor Wacław Gralewski z ówczesnego „Expressu Lubelskiego”, chętnie udzielał tym nowinkom szpalt.

Wśród pretendentek do tytułu najpiękniejszej Polki 1929 roku były także i lublińkanki — panny Wanda Kardaszewska i Zofia Pietrzykówna. I niewykluczone, że sporo lubelskich głosów

na nie dorzuconych zostało do warszawskiego plebiscytu.

Irena Gieryczówna, Barbara Ludwiżanka, Oleńka Otarska, Lusja Rykaczewska, Taida hrabianka Wodzicka, Maria Tyszkiewiczówna, Lili Nikońska, Maria Poraj-Biernacka, Irena Gimbutt-Pawliczusówna, Zofia Piekutowska — która z nich zostanie Miss Polonią? Magda Bogda? Stanisława Scieżkówna, Helenka Pawłowska, a może tajemnicza „Limba”? — snuto domysły.

Wreszcie redakcje „Expressu Porannego” i „Kurier Czerwony” powołały sąd nad sądy, siedmioosobowe jury pod przewodnictwem s a m e g o Tadeusza Boya-Zeleńskiego, nieporównanego znawcy i odkrywcy piękna, pisarza o wyjątkowej — jak to podkreślano — niepodległości sądu. Szóstkę następnych sprawiedliwych stanowili: Karol Frycz — profesor Akademii Krakowskiej, artysta malarz, scenograf; Zdzisław Kleszyński — poeta, magister elegantiarum, sędzia konkursów i rewii mody; Henryk Kuna — rzeźbiarz, twórca aktów kobiecych w marmurze, zakupionych nawet przez Paryż; Tadeusz Pruszkowski — profesor Szkoły Sztuk Pięknych, którego dzieła już wtedy zdobyły krajowe i zagraniczne galerie; Edward Wettig — także rzeźbiarz, twórca m.in. monumentu pod nazwą „Ewa”, wyekspozowanego na jednym z paryskich placów; wreszcie Adam Zagórski — teatrolog, krytyk, kierownik pierwszorzędných scen, esteta i konser.

Wieczorem, 28 stycznia, blask jupiterów w salonach hotelu „Polonia” padł na wylonioną w warszawskim plebiscyście dziesiątkę ślicznych pańien. Rozległ się szmer głosów, kamer, zachwyty i... wątpliwości: którą z nich wybrać? Aż do następnego dnia jury pierwszego w Polsce konkursu na Miss Polonię, obradując, jak konklawe, w osobnym salonie, ważyło decyzję.

Poranna prasa obwieściła: „Śliczna, pani jest śliczna!” Lecz kto? No, właśnie owa tajemnicza „Limba”! Za którą kryła się 20-letnia warszawianka, panna Władysława Kostakówna, urzędniczka Miejskiej Kasy Oszczędności. I ona to została Miss Polonią, wybraną w 1929 roku Szarfami wicemiss ozdobiła pannę Alinę hrabiankę Rzeszewska i pannę Hannę Daszyńską.

Czytelnicy jednak spragnieni byli bliższych danych o tej najpiękniejszej. Ich ciekawość ugasił niezawodny „Express Poranny”, którego specjalny korespondent, redaktor J. Migowa, dosłownie „migiem”, w 15 minut po

ogłoszeniu wyniku, udała się z wizytą do mieszkania panny Kostakówny. Na wieść o wyborze tu najpiękniejszą Polkę „jasną twarzą młodą panienci pokrywa na mgnienie oka wielka bladeść i szkarłat zamieszania” — zaczęła swoją relację pani korespondent.

— Czyż to możliwe? — zdumiewa się „Limba”. — Wyznam pani — ośmiela się w zwierzeniach dla „Expressu” nasza bohaterka — że o ile w dzieciństwie bardzo się sobie podobałam, to obecnie mam o swojej urodzie gorsze mniemanie. I gdyby nie rady paru osób z mego otoczenia, nigdy by mi nie przyszło na myśl stawać do konkursu. Raz tylko obrano mnie królową balu...

— A czy innych obiektywnych dowodów swojej urody — docieka redaktor Migowa — życie pani nie dostarcza?

— Nie, dotąd nikt nie popełnił dla mnie samobójstwa — skromnie dodaje panna Władysława. — Jako dziewczynka — uchyla nieco naszą miss swojego życiorysu — trzy lata mieszkałam w podparyskim klasztorze w St. Georges d'Aurac. Ojciec mój był rzeźbiarzem, miał w Paryżu pracownię, ale talentu w tym kierunku nie przejawiałam, wprost przeciwnie, lękałam się nawet wchodzić do pracowni pełnej rzeźbionych głów o pustych oczach.

Przyszła pierwsza wojna światowa i daleka, bo aż na Kaukaz, tułaczka, potem powrót do Warszawy na ulicę Piękną, do zajętego już przez obcych ludzi mieszkania. A więc donikąd. I co było dalej? Panna Władysława znalazła dla siebie i matki, gdyż ojca już nie stało, mały pokójek na Pradze i zajęcie w Miejskiej Kasie Oszczędności za 200 złotych miesięcznie. Studiów nie podjęła, ukończyła natomiast, bo tylko na to pozwoliły jej warunki, kurs stenografii, pisania na maszynie i... kurs samochodowy. To wtedy przypadkowo uśmiechnął się los... na loterii. Nabywając kupon „autolotu”, znalazła w nim kupon na bezpłatny kurs samochodowy.

— A czy wie panna Władysława — „drenuje” temat redaktor Migowa — że w jury konkursu na Miss Europy będzie Augustyn hrabia Zamoycki?

— O, znam panią Augustową Zamoyką — ucieszyła się „Limba” — podarowała mi kiedyś różaniec!

— Tym razem nie klasztorna furta, lecz inne podwoje będą stały otworem w Paryżu — nie ustępuje redaktorka „Expressu”.